



ELIZABETH HARBISON



Księżę i Anastazja

Tytuł oryginału: Annie And The Prince

PROLOG

- Ach, Annie, nie mogę uwierzyć, że wyjeżdżasz! Jesteś pewna, że to właśnie powinnaś zrobić? Rzucić pracę i tak po prostu wyruszyć do Europy?

Annie Barimer spojrzała na swoją przyjaciółkę, Joy Simon. Przepracowały razem pięć lat w Pendleton, szkole dla dziewcząt. Joy w dziale przyjęć, Annie w bibliotece.

- Jestem pewna, Joy - odparła bez cienia żalu. - Poza tym ja nie wyruszam tak po prostu do Europy, jak ci to doskonale wiadomo. Będę podróżować tylko przez tydzień. - Nie mogła powstrzymać radości na myśl o tej wyprawie. Od dawna marzyła, żeby zwiedzić Francję i Niemcy. Ten tydzień, niestety, minie bardzo szybko. - .Potem jadę do Kublensteinu i zacznę nową pracę.

- U nieznanym ludzi. - Joy westchnęła teatralnie, częstując się kolejnym kawałkiem składkowego tortu, kupionego na pożegnalne przyjęcie Annie. Na papierowy talerzyk dołożyła jeszcze rozpuszczające się lody. - Kto wie, jacy oni są. Może to rodzina psychopatycznych morderców?

- Chodzi o córki Marie de la Fuenza - przypomniała Annie.

- W porządku. A co o niej wiemy?

- Wiemy, że dwadzieścia lat temu uczęszczała do Pendleton przez cztery lata, a przedtem uczyła się tu jej matka. Nadto jej rodzina właściwie ufundowała szkolną bibliotekę. Sądzę, że można im ufać.

- Musisz przyznać, że są nieco tajemniczy, jeśli chodzi o tę posadę. - Joy nie dała się przekonać. - Ciągłe piszą o córkach Marie de la Fuenza. A jakie nosi nazwisko po mężu? Jak mają na imię jej córki? Dlaczego listy do nich trzeba kierować przez naszą ambasadę w Kublensteinie, zamiast pisać pod ich adresem domowym? I gdzie w ogóle leży ten Kublenstein?

- W Alpach. - Annie nie zbiły z tropu argumenty Joy. - A jej mąż jest tam jakąś ważną figurą w rządzie, więc wszystko przygotowują bardzo starannie i ostrożnie.

- W dalszym ciągu nie widzę powodu, byś porzuciła pracę w Pendleton. - Joy wzruszyła ramionami.

- Całe życie chciałam pojechać do Europy, ale to pierwsza okazja, która mi się nadarzyła, by tam pomieszkać jakiś czas i jeszcze dostawać za to pensję. - Obrazy wieży Eiffla, katedry Notre Dame, Partenonu, Koloseum i miliona innych słynnych europejskich zabytków przemknęły jej przez głowę.

Ponurego miasteczka Pendleborough nie można było z nimi porównywać. - Nie będę tęsknić za niczym.

- Wiedziałam, że to powiesz.

- Mówiłam to tysiące razy. - Annie roześmiała się i odrzuciła w tył pasmo brązowych jak kawa włosów, które wysunęło się z warkocza i łaskotało ją w policzek.

Na chwilę zjawiło się kilkoro nauczycieli nauk ścisłych, żeby życzyć jej szczęścia w nowej pracy. Podziękowała im i wróciła do przerwanej rozmowy z Joy.

- Pomyśl, marzenia stały się rzeczywistością. Ciesz się razem ze mną.

- Dobrze, dobrze. - Joy podniosła ręce do góry w teatralnym geście bezradności. - Uczciwie mówiąc, wcale się nie martwię o twój pobyt w Europie, martwię się o siebie. Zwariuję tu z nudów, kiedy wyjedziesz.

- Będę pisać, przyrzekam - obiecała Annie. Wyobraziła sobie, jak tysiące kilometrów stąd kaligrafuje adres Pendleton na kopercie. Myśl o tym przyprawiła ją o zawrót głowy, ale pocieszyła się, że przyjaciółka wolała kontaktować się szybko i bezpośrednio za pomocą poczty elektronicznej.

- Teraz tak mówisz - pokiwała głową Joy, opychając się ciastem. - Ale co będzie, kiedy trafisz tam na swojego zaczarowanego księcia, wdasz się w romans i zapomnisz o pisaniu?

- A więc to tam mieszka mój zaczarowany książę... - rzekła Annie z udawanym zdziwieniem. - A ja, głupia, od dwudziestu pięciu lat całuję żaby po złej stronie Atlantyku.

- Śmieję się, jeśli chcesz, ale mam przeczucie, że spotkasz tam kogoś. Kogoś bardzo romantycznego. Możesz nigdy nie wrócić!

Joy posunęła się za daleko. .Annie nie potrafiła sobie nawet tego wyobrazić... chociaż ten pomysł, jako czysta fantazja, był pociągający.

- Masz rację, spotkam tam kogoś. Będą to nawet dwie osoby. Córki Marie de la Fuenza. Nie cierpię sprowadzać cię na ziemię, ale brak mi będzie czasu na życie towarzyskie.

Mówiła prawdę. Będzie musiała zajmować się przede wszystkim dziećmi. Nie należała zresztą do tych, co to chadzają wciąż na przyjęcia i zawierają nowe znajomości.

- Pamiętasz, co mówił tarot, którego ci postawiłam? - spytała Joy. - Poznasz bardzo ważnego i potężnego człowieka. Ta karta była w domu miłości.

Annie szukała w myślach, z trudem przypominając sobie te wróżby.

- Joy, to była zabawa na szkolnym kiermaszu. Oczywiście sama nie wierzysz w to wszystko. Na miłość boską, przecież czytałaś te przepowiednie z książki.

- Co nie znaczy, że to nieprawda. Poza tym moje przeczucia już się sprawdzały - oświadczyła urażona Joy.

- Kiedy?

- Mówiłam ci, że Judy Gallagher jest w ciąży.

Wszyscy zdali sobie sprawę, że Judy jest w pierwszych miesiącach ciąży, kiedy każdego ranka zaczęła wybiegać do łazienki z lekcji nauk społecznych. Annie miała to na końcu języka, ale zamiast tego ustępliwie przytaknęła.

- Masz rację, mówiłaś.

- I teraz też mam rację. Zapamiętaj moje słowa.

- Zapamiętam.

- Poza tym powinnaś poznać jakiegoś faceta. Musisz mieć kogoś, w kim będziesz mogła znaleźć oparcie za rok, kiedy skończy się twój kontrakt nauczycielki angielskiego i zostaniesz na lodzie.

- Nie zawsze jest tak łatwo na kogoś trafić.

- Cóż... - Joy westchnęła. - Jak będziesz ubrana w samolocie?

Annie wybuchnęła śmiechem. Jej przyjaciółce największą przyjemność w życiu, zaraz po jedzeniu, sprawiała moda. Nieźle się też na tym znała.

- Włożę to. - Annie wskazała to, co miała na sobie: wygodny bawełniany sweter i legginsy.

- Doprawdy, masz taką wspaniałą figurę i nigdy nic nie robisz, żeby to podkreślić. To wręcz nieuczciwe. Może powinnaś wziąć mnie ze sobą, żebym ci dawała rady.

- Jasne, że powinnam.

Na zewnątrz zabrzmiał słabo klakson. Annie podeszła do okna. Zobaczyła żółtą taksówkę jadącą przez dziedziniec w kierunku biblioteki.

- Jest taksówka! - zawołał ktoś w tej samej chwili.

- Chyba czas już iść.

- Na to wygląda - zmartwiła się Joy.

Annie nie mogła się martwić razem z nią. Było jej lekko na sercu. Właściwie to serce biło jej mocno z podniecenia. Nie miała żadnych przeczuć, ale podświadomie czuła, że jej życie wkrótce się zmieni. Czy to w ogóle możliwe, żeby spełniła się wróżba przyjaciółki?

- Nie rób takiej smutnej miny. - Pocałowała Joy w policzek. - Obiecałam, że będę pisać do ciebie i napiszę.

- Koniecznie napisz. Czy wzięłaś cyfrowy aparat fotograficzny, który ode mnie dostałaś?

- Wszystko zapakowane.

- Dobrze. Rób zdjęcia. Przyślij je pocztą elektroniczną. Pamiętasz, jak to się robi? Pokazałam ci.

- Pamiętam.

Usadowiła się na tylnym siedzeniu taksówki, machając na pożegnanie wszystkim znajomym, którzy wyszli przed budynek biblioteki, by towarzyszyć jej przy odjeździe.

- I nie zapomnij zawiadomić mnie o nim - dodała Joy znaczącym tonem.

Annie zaczerwieniła się. Jak tylko taksówka odjedzie, wszyscy rzucą się na Joy, żeby powiedziała, o kogo chodzi. A niech się rzucają. Może to nawet i lepiej.

Bądź co bądź to koniec Annie-znużonej bibliotekarki i narodziny Annie-kobiety światowej.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Annie zastanawiała się, czego właściwie tak się boi. Westchnęła i oparła się o szybę, patrząc, jak za oknem pociągu przemyka alpejski krajobraz. Pędzili do Lassbergu, stolicy Kublensteinu, małego europejskiego państewka. Prawdę mówiąc, niezbyt dobrze skalkulowała koszty pobytu w paryskim hotelu, potem okazało się, że Niemcy też są zbyt drogie. Postanowiła więc zjawić się w Kublensteinie dwa dni wcześniej, niż planowała. Będzie mogła poznać przynajmniej ten kraj, zanim rozpocznie nową pracę.

Powinna sprawić sobie trochę przyjemności. Nie miała prawdziwych wakacji, odkąd skończyła jedenaście lat i zawieziono ją do parku rozrywki, niedaleko od jej rodzinnego miasteczka w stanie Maryland. W czasach szkoły średniej musiała być już całkowicie samodzielna, ciągle pracowała, by się utrzymać i płacić stopy rachunków. Teraz może jej życie zmieni się na lepsze. Dostała niezłą posadę i najwyraźniej zetknie się z przedstawicielami znakomitego europejskiego rodu. Marzyła właśnie o czymś takim.

Wagon się kołysał, a ona po raz setny drobiazgowo analizowała swoją sytuację i nie mogła znaleźć niczego, co powodowało, że ścisnęła ją w żołądku ze strachu.

Pociąg szarpnął gwałtownie. Młody blondyn, z dużym plecakiem na ramionach, poleciał na nią, rozlewając troszkę kawy na jej bluzkę.

- Bardzo panią przepraszam - powiedział z lekkim skandynawskim akcentem.

- W porządku - odrzekła cicho, ale on już przeszedł dalej, nie czekając na odpowiedź.

Zsunęła z nosa swoje grube szkła do czytania i zaczęła szperać w torbie, szukając chusteczki. Skąd ten młodszy o kilka lat chłopak wiedział, że ona mówi po angielsku? Musi wyglądać na typową Amerykankę...

Zmartwiona wycierała bluzkę. Plama nie dawała się usunąć. Annie zwinęła chusteczkę w kulkę i wyrzuciła do kosza, starając się skupić uwagę na książce, ale przychodziło jej to z trudem. W wagonie było głośno i tak duszno, że oblewała się potem. Po kolejnej nieudanej próbie zagłębienia się w lekturze odłożyła książkę na kolana i pozwoliła, by jej myśli błądziły po swojskiej okolicy, blisko domu. Gdyby została na miejscu, siedziałaby teraz w swoim ciasnym, chłodnym mieszkanku, oglądając wiadomości i dojadając resztki wczorajszego jedzenia, kupionego na wynos w chińskiej restauracji.

Rano jej budzik zadzwoniłby o szóstej pięćdziesiąt, wzięłaby prysznic i pojechała do pracy. Nie takiej zresztą, która nie dawałaby jej satysfakcji. Jeśli chodziło o to, Annie była bardzo dobrą bibliotekarką. Zawsze cieszyło ją, że może pomagać uczennicom, wskazywać im bardziej twórcze sposoby wykonania zadanej pracy. Zachęcała je do wyboru trudniejszych dróg, uczenia się więcej, i lubiła podsuwać im przykłady silnych charakterów z literatury.

Na nieszczęście w Pendleton uważano to często za niestosowne i kilkakrotnie członkowie bardzo konserwatywnego zarządu szkoły upomnieli Annie, żeby pozostawiła nauczanie nauczycielom. Było bardzo prawdopodobne, że gdyby teraz nie odeszła sama z tej pracy, zarząd poprosiłby dyrektora, Lawrence'a Pegrina, by ją zwolnił. Kilka razy Lawrence zwrócił jej uwagę na niestosowność jej metod wychowawczych, chociaż podejrzewała, że aprobował je skrycie.

W istocie, kiedy mąż Marie de la Fuenza skontaktował się ze szkołą, poszukując odpowiedniej angielskiej wychowawczynie i opiekunki, Lawrence bez wahania podał kandydaturę Annie. Rozmawiając z nią prywatnie, zapewnił, że jeśli nic z tego nie wyjdzie, będzie mogła wrócić do Pendleton, bez względu na to, czego sobie życzy zarząd szkoły.

Jakoś ją to zabezpieczało, ale nie aż tak, by teraz mogła czuć się swobodnie. Poza tym prześladowało ją niemal namacalne wrażenie, że coś się wydarzy, ale nie potrafiła odczytać tego przeczucia. Może coś strasznego, a może coś cudownego? Między radosnym podnieceniem a strachem przebiegała bardzo niewyraźna granica.

Obserwując przez okno krajobraz, Annie pomyślała, że gdyby baśnie mogły się urzeczywistniać, w Kublensteinie można by znaleźć dla nich właściwą scenerię. Góry, ogromne trójkąty śnieżnej bieli i cienia, sięgały stalowoszarego nieba. Stare, wiecznie zielone lasy, z wierzchołkami pokrytymi śniegiem, stały niewzruszone jak przed tysiącem lat. To był pejzaż z baśni braci Grimm, kryjący w głębokim cieniu drzew coś niesamowitego, ale zarazem ulotny jak sen.

Za oknem przemykały kilometry zmarzniętych czarnych pni drzew. Annie rozejrzała się dookoła. Wydawało się jej, że przynajmniej połowa pasażerów w wagonie to studenci, rozradowani podróżą, głośno mówiący i pełni entuzjazmu. Nagle ogarnęło ją poczucie klaustrofobii. Jeśli będzie musiała dłużej zostać w tym przegrzanym i przepełnionym wagonie, po prostu się udusi. Postanowiła sprawdzić, czy gdzie indziej nie ma mniej ludzi.

Wepchnęła książkę do torby, podniosła się i zawlokła swoje dwie walizy do przejścia między wagonami, gdzie znajdowała się mała toaleta. Chłodniejsze powietrze orzeźwiło ją od razu. Raczej będzie stała tutaj do końca podróży niż wróci do tamtego tłumu, mimo że to prawdopodobnie wbrew przepisom. Na nieszczęście musi taszczyć ze sobą bagaż, zanim znajdzie gdzieś miejsce. Jednak najpierw spróbuje pozbyć się tej upartej plamy na bluzce.

Wśliznęła się do ciasnej toalety, stopą przytrzymując drzwi tak, żeby wciąż mieć oko na walizy. Sztywne papierowe ręczniki były praktycznie wodoodporne, ale zdołała usunąć prawie całkowicie ślady po kawie, chociaż zmoczyła przy tym bluzkę.

Wyszła na korytarz i stanęła w przejściu przy oknie, głęboko wdychając lodowate powietrze. Potem znów złapała za walizki, otwierając ramieniem drzwi następnego wagonu. Dziwnym sposobem okazał się pusty i cichy.

Natychmiast uświadomiła sobie, że jest w pierwszej klasie. Poszczególne przedziały kusily swoimi zamkniętymi drzwiami, miękkimi siedzeniami i małymi kinkietami, których delikatne ciepłe światło rozpraszało zimny i szary mrok krajobrazu za oknem. Nie sposób było oprzeć się temu. Annie zdecydowała spontanicznie, że wśliznie się do jednego z przedziałów i odpocznie sobie jako nielegalna pasażerka pierwszej klasy, póki pociąg nie dojedzie do Lassbergu albo też póki nie zostanie wyrzucona. Zresztą niczego nie ukradnie. Jeśli ona nie zajmie miejsca w przedziale, będzie przecież pusty.

Nagle zauważyła w jednym z przedziałów bardzo przystojnego mężczyznę. Siedział sam. Coś w jego postawie sugerowało dystans. Wyciągnęła szyję, by rzucić okiem na jego dłonie. Nie miał obrączki, jak słusznie przypuszczała.

Wstrzymała oddech. Gdybyż tylko była kobietą, na którą mężczyzna taki jak ten zechciałby spojrzeć po raz drugi... Marzycielka, skarciła się w duchu. Przez dwadzieścia pięć lat jej życia mężczyźni nie obrzucali jej spojrzeniami i nic nie wskazywało na to, że teraz zaczną, a zwłaszcza ten adonis, którego właśnie obserwowała. Jednakże ogarnęła ją baśniowa atmosfera Alp, i wspomniała przepowiednię Joy. Czemu nie poddać się temu, choćby na krótką chwilę?

Palcem dotknęła drzwi. Może ty będziesz moim zaczarowanym księciem, wymruczała pod nosem, a para jej oddechu osiadła na szybie. Jeśli dobre

wrózki naprawdę istnieją... Zaśmiała się w duchu. I jeśli współczesna kobieta nie boi się hańby, marząc o zaczarowanym księciu...

Profil męczyzny, oświetlony pomarańczowym blaskiem lampki do czytania, przykuwał wzrok. Rzęsy miał długie i ciemne, nos prosty, kości policzkowe pięknie zarysowane. Lśniące włosy były tak czarne jak u Heathcliffa z „Wichrowych wzgórz”. Nie widziała, jakiego koloru są oczy, ale była przekonana, że są inteligentne.

Co prawda na pierwszy rzut oka prezentował się jak pierwszy lepszy facet, w wytartych dżinsach i zmechaconym wełnianym swetrze. Trochę ją dziwiło, że jechał pierwszą klasą - mógł uchodzić za jednego ze studentów z tamtego wagonu, chociaż by! od nich starszy. Miał w sobie coś władczygo i, jak wydawało się Annie, czuł się bardzo swobodnie w eleganckim otoczeniu.

Tuk tuk, tak tak, tuk tuk - pociąg dudnił pod jej stopami, przemierzając malowniczy krajobraz. Drzwi do przedziału uchyliły się lekko. Ktoś o mocniejszych od Annie nerwach wszedłby po prostu i usiadł. Prawie się roześmiała na samą myśl, że mogłaby to zrobić. To było zupełnie do niej niepodobne. Gdyby tak się zachowała, gdyby mogła opanować nerwy i zdobyć się na to, byłby to chrzest bojowy w obcym kraju, ale...

- Przepraszam, panienko, czy mógłbym zobaczyć pani bilet? - ktoś za jej plecami zadał jej pytanie po niemiecku.

Obróciła się na pięcie i znalazła się twarzą w twarz z niskim, okrągłutkim człowiekiem w kolejarskim uniformie. W jednej ręce dzierzył bilety, które już zdążył zebrać od pasażerów, drugą wyciągnął ku niej oczekująco.

- Tak... ja... - Zaczerwieniła się, bo przez chwilę podejrzewała, że kolejarz domyślił się, komu się tak intensywnie przyglądał. Niezdarnie gmerała w torebce, szukając biletu pierwszej klasy, którego tam nie było, z nadzieją, że znajdzie bilet klasy drugiej, który tam powinien być. - Jeden moment - zaczęła mówić po niemiecku. - Jest gdzieś tutaj.

Kątem oka zauważyła, że konduktor zmarszczył brwi.

- Naprawdę. - Grzebała jeszcze w torebce, mając coraz mniej nadziei, że w ogóle znajdzie bilet. - Kupiłam go w Monachium, tuż przed odjazdem pociągu.

Modliła się w duchu, by grecki bóg z przedziału nie zauważył, co się dzieje. Co prawda na pewno zauważył, bądź co bądź drzwi były prawie całe przeszkłone, a ona stała tuż przy nich.

- Panienska pozwoli. - Konduktor wyprostował się i skrzyżował ręce na piersiach. - Może panienska kupić bilet w pociągu. To kosztuje czterysta marek.

- Czterysta... - Annie zbladła.

Wagon nagle szarpnął i straciła równowagę, poleciała na drzwi przedziału tajemniczego mężczyzny, które otworzyła się na oścież. Wskutek tego rozciągnęła się jak długa przed siedzącym mężczyzną. Okulary, które spadły jej z nosa, zadźwięczały na podłodze gdzieś za nią.

- Przepraszam - Annie po omacku szukała szkieł, znalazła je i założyła.

Uchwyciła wzrok mężczyzny, miał oczy zielone zielenią tak intensywną, że trudno było sobie to wyobrazić. Wszystko się w niej skurczyło.

Tajemniczy pasażer podniósł się, obserwując ją z niejakim zainteresowaniem. Spojrzenie niesamowitych oczu przeniosło się z niej na konduktora, który sprawiał wrażenie rozgniewanego, potem znowu na nią.

~ Tak mi przykro. - Annie próbowała się uśmiechnąć, usiłując stanąć na nogi.

- Wszystko w porządku - powiedział łagodnie, odwzajemniając uśmiech.

- Ja... - Straciła zupełnie wątek. Konduktor odchrząknął i przypomniała sobie, że w przedziale jest jeszcze osoba trzecia. - Gdzieś tutaj mam bilet - zwróciła się do niego.

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią, więc podjęła kolejną próbę odnalezienia biletu. Nigdzie go nie było. Pod nosem wymamrotała po angielsku niewinne przekleństwo, za które w Pendleton na pewno odesłano by uczennicę do dyrektora.

- Obawiam się, że musi panienska zapłacić za bilet - oświadczył konduktor.

- Powiedziała, że ma już bilet - odezwał się mężczyzna głosem dźwięcznym i spokojnym. Jego niemiecki miał lekki akcent, ale Annie nie wiedziała jaki.

- Taka jest zasada, proszę pana. - Okrągła twarz poczerwieniała. - Ja nie wydaję rozporządzeń, ja tylko je wykonuję.

- To nie będzie konieczne - rzeki mężczyzna. Zawahał się przez moment, potem wziął mały skórzany plecak z podłogi. Skinął głową Annie. - Proszę mi pozwolić. - Wyjął kilka banknotów o wysokim nominale.

- Nie, nie pozwolę panu tego zrobić - sprzeciwiła się Annie, szukając w torebce pieniędzy.

- Jednak nalegam. - Kiwnął w stronę konduktora. - Proszę wnieść pani bagaż tutaj.

Wyciągnął pieniądze, ale Annie, która pośpiesznie odliczyła czterysta marek, zdążyła wręczyć je pierwsza konduktorowi.

- Jestem panu bardzo wdzięczna - podziękowała adonisowi.

- Oczywiście. - Popatrzył na nią przeciągle, z niewyraźnym uśmiechem na wargach.

Kolejarz zaczął coś mówić, ale naraz zamilkł i zaczął się uważnie przyglądać rycerzowi Annie.

- Chwileczkę... Niech pan nie mówi mi, że pan jest...

- Dziękuję za pańską pomoc. - Mężczyzna spojrział na niego z góry jakby odruchowo. - To już wszystko. - Odprawivszy konduktora w ten sposób, odwrócił wzrok, chociaż tamten gapił się jeszcze na niego.

- Oczywiście, to nie on, on nie mógłby być tutaj. - Konduktor wyszedł, mrużąc i drapiąc się po głowie. Na Annie nawet nie spojrział.

Przyjrzała się mężczyźnie, którego konduktor wziął za jej towarzysza. Lekko odwrócił głowę. Kogokolwiek miał przypominać, najwyraźniej nie chciał poruszać tego tematu. Prawdopodobnie jakiś mało znany europejski gwiazdor filmowy. Wyglądał na takiego. Topniała przecież pod jego spojrzeniem. Powinna lepiej przestać wlepić w niego oczy.

- Dziękuję, że zaoferował mi pan pomoc - odezwała się, wycofując się w stronę drzwi. - Przepraszam, że wtargnęłam do pańskiego przedziału.

- Żaden problem - wzruszył ramionami. - Przykro mi, że ten człowiek był takim nieprzyjemnym przedstawicielem mojego państwa. Pani jest Amerykanką?

Zatrzymała się i przytaknęła. Zastanawiała się, czy on spodziewa się, że ona zostanie w przedziale.

- Proszę usiąść ~ odpowiedział na jej nie zadane pytanie, gestem wskazując miejsce. - Wolę podróżować w towarzystwie, chyba że musi pani siedzieć gdzieś indziej.

- Nnnie, dziękuję. - Usiadła, zahipnotyzowana wręcz jego wzrokiem.

- Nie chciałbym, żeby wyjechała pani stąd z wrażeniem, że w Kublensteinie nieprzyjaźnie traktuje się cudzoziemców - rzekł ze zniewalającym uśmiechem.

- Ależ skądże, w żadnym razie. - Nastąpił moment ciszy. - Rzeczywiście mam bilet albo przynajmniej miałam... - dodała szybko.

- Wierzę pani.

Nie była pewna, czy wierzył naprawdę.

- A przy okazji, jestem Annie. - Nie zareagował we właściwy sposób. - A pan? - ponagliła go.

Obserwował ją przez chwilę z wyrazem twarzy, którego nie potrafiła odczytać.

- Nie wie pani? - spytał w końcu.

Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Miała to uczucie zawsze, kiedy miało się wydarzyć coś ważnego. W jego pytaniu zawierało się jakieś ukryte znaczenie.

- Nie - odparła po prostu. - A powinnam?

- Oczywiście, że nie - uśmiechnął się. - Pomyślałem tylko, że... że już się przedstawiałem - Zbagatelizował to, ale wyglądał podejrzanie, jak kot, który pożarł kanarka. Wyciągnął ku niej rękę. - Jestem Hans.

- Miło mi poznać. - Z uśmiechem dotknęła jego ciepłej dłoni. Niemal się roześmiała, przypominając sobie znowu przecucia Joy. W istocie przyjaciółka miała do pewnego stopnia rację, rzeczywiście spotkała kogoś interesującego.

- Proszę mi wierzyć - najwyraźniej przez roztargnienie trzymał długo jej rękę w swojej dłoni - cała przyjemność po mojej stronie. - Uśmiechnął się ujmująco.

- Muszę powiedzieć - odkaszlnęła - że zwykle nie jestem tak niezręczna i lekkomyślnie nie gubię biletów. To pewnie z powodu różnicy czasu i zmęczenia po locie z Ameryki. Jestem pierwszy raz w Europie.

- Naprawdę? - Wydawał się rzeczywiście zaskoczony. - Całkiem dobrze mówi pani po niemiecku.

- Dziękuję. - Stwierdziła ze zgrozą, że się rumieni. - Moja babcia była Niemką i rozmawiałam z nią po niemiecku przez pierwsze pięć lat mojego życia. - Mówiła chaotycznie, jak zawsze gdy była zdenerwowana. - Odkąd pamiętam, pragnęłam odwiedzić jej ojczyznę.

- Rozumiem - pokiwał głową z namysłem. - Dlaczego pani zdecydowała się przyjechać właśnie teraz?

- Po pierwsze, zaoszczędziłam wreszcie dość pieniędzy. Prawie nie byłam w stanie zebrać takiej sumy, ale otrzymałam nową pracę i... - Zorientowała się, że znowu snuje chaotyczną opowieść. - W każdym razie tu jestem.

- Jest pani. - Wciąż obrzucał ją spojrzeniami, pod którymi się czerwieniła.

Znowu zapadła na krótko cisza. Annie postanowiła natychmiast przerwać milczenie.

- Wie pan, naprawdę nie wiem, jak mogłam zgubić bilet. Włożyłam go razem z paszportem do bocznej kieszeni właśnie tutaj w portfelu - otworzyła zamek błyskawiczny - więc mogłam być pewna, że jest bezpieczny. Pewnie zrobiła się tam dziura albo coś w tym rodzaju. Ach... - Wyciągnęła bilet z kieszeni portfela i poczuła, że twarz jej płonie ze wstydu. - To dziwne. Dlaczego, na miłość boską, nie było go tam przedtem? - Zmieszała się. Przeszukiwała przecież tę kieszeń bardzo dokładnie. To zakrawało na czary. Podniosła oczy i zobaczyła, że Hans był wyraźnie zaintrygowany. - Wiem, że to wygląda dziwnie, ale naprawdę nie zrobiłam tego naumyślnie.

- Nie sądzę. - Zdaje się, że cała sprawa go rozbawiła. Zapanowało niezręczne milczenie.

- A więc... wysiada pan w Lassbergu? - spytała po kilku minutach Annie.

- Owszem - przytaknął, patrząc na nią. - Mieszkam tam. - Bardzo ostrożnie formułował odpowiedź.

- Szczęściarz z pana. To piękny kraj.

- Tak, ma pani rację.

Przez okno widać było trasę narciarską.

- Czy mieszkając tutaj, często pan jeździ na nartach?

- Niestety - pokręcił głową - Nie mogę się wyrwać zbyt często. Moja praca... nie pozwala mi...

- Ale teraz się pan wyrwał - uśmiechnęła się do niego.

- Tak, ale w sprawach służbowych. Mniej więcej co miesiąc podróżuję przez kilka dni po kraju, ale nawet wówczas nie mam zbyt wiele czasu na relaks.

Annie oddałaby wiele, żeby mieć pracę, z którą związane byłyby podróże pociągiem przez Alpy.

- A co pan robi?

- Pracuję w administracji - odparł po chwili wahania. - To niezbyt interesujące. A pani? - Trochę zbyt gwałtownie zmienił temat. - Jedzie pani do Lassbergu na wakacje?

- Tak, na kilka dni. Potem... - Odkryła, że nie lubi być tak wypytywana, może z powodu zmęczenia. Natychmiast wzięła swoją fantazję pod kontrolę. Nawet nie zna tego człowieka. To nieznajomy z pociągu. Pamiętając o tym, nie zamierzała mu powiedzieć, że za kilka dni obejmie posadę prywatnej nauczycielki angielskiego w Lassbergu.

- Potem? - podpowiedział.

- Po prostu spędzę tam kilka dni wakacji... - lekko się zawahała. - A potem z powrotem do pracy. - Wzruszyła ramionami.

Opadła na wygodne oparcie-fotela w przedziale pierwszej klasy, patrząc na przystojnego nieznajomego siedzącego naprzeciwko. Uśmiechnęła się, ale bynajmniej nie na myśl o nowej pracy. Bawiło ją to, że przeczucia Joy, dotyczące spotkania z zaczarowanym księciem, mogą jednak okazać się prawdziwe.

ROZDZIAŁ DRUGI

Książę Ludwig Johann Ambrose George Kublenstein, znany ogółowi i prasie jako książę Johann, a garstce wybrańców jako Hans, oparł się o skórzane oparcie fotela w pociągu, by dokładnie przyjrzeć się współpasażerce siedzącej naprzeciwko.

Była bardzo pociągająca, chociaż robiła wszystko, co mogła, by to ukryć. Lśniące włosy splotła w ciasny warkocz, odrzucony do tyłu. Nie mógł nic na to poradzić, ale wyobrażał sobie, że rozpuszcza jej włosy i rozgarnia je palcami. Na pewno są miękkie, dałby za to głowę, i prawdopodobnie pachniały kwiatami. Wpatrzył się w jej oczy, intensywnie błękitne, jak zauważył, kiedy zgubiła okulary. Miała inteligentne spojrzenie. Podobało mu się to. Jej twarz sprawiała właściwie miłe wrażenie: prosty, niezbyt godny uwagi nos, wydatny podbródek, ładnie zarysowane usta, gładka cera.

O jej figurze nie mógł nic powiedzieć, ponieważ nosiła gruby sweter i workowate spodnie. Co prawda to niczego nie zmieniało. Hans nie wątpił, że jest piękna, chociaż najwyraźniej o tym nie wiedziała. Ogólnie biorąc, myślał leniwie, wyglądała zupełnie inaczej niż dziewczyny, z którymi się spotykał. Nie miała w sobie nic ostentacyjnego. Jej piękno było ciche, stłumione, ale dostrzegał je w każdym szczególe.

Inna sprawa to osobowość tej Amerykanki, zbyt otwartej i śmiałej, jak na jego gust. Była bardzo uprzejma, ale pod powierzchnią tej uprzejmości kryła się siła, która dawała mu do myślenia. Poza tym ciekawiło go, czy wszystkie Amerykanki są tak otwarte. Właśnie zatrudnił obywatelkę Stanów Zjednoczonych - której na oczy nie widział - jako nauczycielkę angielskiego i opiekunkę swoich dwóch córek.

Rzecz jasna, kobieta, którą zatrudnił - Anastazja Barimer - posiadała bardzo dobre, potwierdzone referencje. Pracowała w szkole dla dziewcząt, do której uczęszczały jego zmarła żona i teściowa - ekskluzywnej i jednej z najbardziej prestiżowych w całych Stanach. Zatrudnił ją zgodnie z życzeniem zmarłej żony. Nie chciała, by jej córki zostały odesłane, jak ona przed laty, do szkoły z internatem tysiące kilometrów od domu. Chociaż Hansa i Marie dzielił dystans pod wieloma względami, miał dla niej na tyle szacunku, by postąpić wedle jej woli w kwestii edukacji córek. W szkole dla dziewcząt Pendleton również darzono Marie ogromnym szacunkiem, więc wiedział, że nigdy nie przysłano by mu kogoś nieodpowiedniego.

Tak, zapewniał sam siebie, zatrudnienie Amerykanki wywrze dobry wpływ na dzieci. I będzie nawet korzystne dla przyszłości monarchii. Jego naród pragnął rozwijać stosunki międzynarodowe. On sam przywiązywał do tej dziedziny ogromną wagę. Byłoby bardzo dobrze, gdyby jego córki, które w przyszłości będą reprezentować swój kraj, nauczyły się angielskiego od rodowitej Amerykanki. Wzięły już oczywiście trochę lekcji u pani Markham, znającej jednak język w stopniu ograniczonym. Za to nowa nauczycielka będzie w stanie nauczyć je niuansów amerykańskiej angielszczyzny, idiomów, wyrażen potocznych, wszystkiego, co powinny znać. W rzeczywistości on też odniesie z tego pożytek. Postanowił, że w obecności tej nauczycielki wszyscy w domu będą mówić tylko po angielsku. Nie widział żadnego błędu w tych planach. Miał tylko nadzieję, że Amerykanka nie będzie tak uparta jak Annie. I nie taka młoda, a także nie taka... pociągająca.

Zresztą to są sprawy drugorzędne. Nie z powodu wyglądu Annie chciał, żeby została w jego przedziale. Poprosił ją o to i prowadził z nią konwersację podczas podróży, bo sądził, że opinie cudzoziemki na temat jego kraju mogą być interesujące. Przyjechała do Europy po raz pierwszy, i już to czyniło z niej idealną obserwatorkę, patrzącą na Kublenstein świeżym okiem. To, jak i fakt, że go najwyraźniej nie rozpoznawała.

Ostatni tydzień spędził, podróżując samotnie, bez ochroniarzy i sekretarek. Odwiedzał małe miasteczka i wsie, spotykał przeciętnych ludzi i przysłuchiwał się ich opiniom. Ciągłe powracała kwestia tego, że Kublenstein nie liczy się na arenie międzynarodowej. Większość świata nawet nie wiedziała o istnieniu tego państwa, ci zaś, którzy o nim słyszeli, uważali je za miejsce zapóźnione cywilizacyjnie, dobre co najwyżej na spędzenie urlopu. Lecz mieszkańcy Kublensteinu pragnęli liczyć się w Unii Europejskiej. Chcieli być potęgą eksportową i cieszyć się ogólnym respektem, choćby ze względu na bardzo rozwiniętą produkcję czekolady i przemysł zegarmistrzowski.

Hans wysłuchiwał żalów swoich poddanych i zgadzał się z ich poglądami. Rzadko jednak zdarzała mu się okazja, by porozmawiać z kimś przybyłym po prostu na wakacje z zagranicy, spoza świata wielkiej polityki, z kimś bez żadnych uprzedzeń.

- Czym się pani zajmuje w Stanach? - zapytał, tłumacząc sobie, że jego zainteresowanie jest bezosobowe, że w istocie zbiera dane do socjologicznego wywiadu. Informacje takie jak kształt jej warg, kiedy

wypowiadała słowa, czy jasność, która biła z jej oczu, jako nic nie znaczące nie będą brane pod uwagę.

- Pracuję w szkolnej bibliotece - odparta po chwili.

- Aha. - Pokiwał głową. Właściwie to go zaskoczyło, chociaż sam nie wiedział, czego się spodziewał. - Bibliotekarka. Co sprawiło, że zdecydowała się pani przyjechać do Kublensteinu? Czy dzieci w pani szkole coś wiedzą o tym kraju?

- Cóż... - namyślała się chwilę. - Niektóre słyszały opowieść o małej wieśniaczce, która na jeden dzień przerwała wojnę.

Legenda głosiła, że podczas jednej z bitew I wojny światowej mała dziewczynka znalazła na ganku rannego żołnierza wojsk nieprzyjacielskich i odprowadziła go do swoich, wbrew błaganiom obu stron, by wracała do bezpiecznego domu. Póki nie wróciła, przerwano ogień na froncie.

- To tylko mit

- A czy jej pomnik nie stoi na placu w stolicy? - Annie sięgnęła do przewodnika.

- Tak, ale historia jest wyolbrzymiona. - Czuł lekkie zażenowanie. - Czy tylko tyle. amerykańscy uczniowie wiedzą o Kubień Steinie?

- Cóż... - Nie chciała go obrażać, więc nie zaznaczyła, że tylko mała garstka wie aż tyle. - To bardzo mały kraj.

- Mniejszy od innych, ale też i większy od niektórych. -Bardzo irytowało go to określenie, chociaż odpowiadało prawdzie.

- Myślę, że raczej niedoceniony niż mały - poprawiła Annie. - Pamiętam, że kiedy sama się uczyłam, w szkole tylko raz wspomniano o Kublensteinie, na lekcji historii, i to mimochodem, przy okazji kwestii neutralności Szwajcarii. Ale sądzę, że to urocze miejsce.

- Urocze - powtórzył, jakby zastanawiając się, czy lubi to słowo, czy nie.

- O tak, - Popatrzyła na niego poważnie. - To dla mnie wiele znaczy. Nie podróżuję do jakiegoś kraju ze względu na rozległość jego granic, podróżuję dla tego, co znajdę wewnątrz tych granic.

- A co spodziewa się pani znaleźć w Kublensteinie? - Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

Znał ją nader krótko, ale już wiedział dosyć, żeby uświadomić sobie, że takie pytanie może być niebezpieczne, kiedy stawia sieje młodej, prostolinijnej kobiecie.

- Naprawdę nie wiem - zaśmiała się wymuszonym śmiechem. - Ale w innych miejscach w Europie jest masa turystów. Na przykład w Paryżu.

Właśnie stamtąd jadę. Tłok straszliwy, przepelnienie ponad wszelką miarę. A w takim mieście jak Lassberg, o którym wiele nie słyhać, można znaleźć przestrzeń dla siebie.

- Wie pani, tutaj też żyją ludzie. - Wiedział, że nie zamierzała go zdenerwować, podkreślając nieobecność turystów.

- Wiem. To właśnie jest interesujące. Można zwiedzać kraj i mieszkać nie w gromadzie turystów, lecz raczej wtapiając się w życie tutejszych mieszkańców. - Spojrzała na niego pytająco. - Może wolicie trzymać turystów z dala? Zachować naturalne uroki kraju, a nie eksploatować rabunkowo piękno przyrody?

- Kublenstein, jak każdy inny europejski kraj, potrzebuje dochodów, które przynosi turystyka. - Zacisnął zęby, powstrzymując gniew, i utkwiał wzrok w oknie. - Bez tego uroki, którymi pani jest tak zainteresowana, bardzo podupadną.

- Hmm, to wstyd, ale nie pomyślałam, że tak to jest. - Zaczęła wyglądać przez okno.

- Jest, jak jest - mruknął przez zęby. Nie ona go zdenerwowała, ale prawda, którą usłyszał.

- Mam nadzieję, że nie uraziłam pana.

- Nie, oczywiście, że nie. - Mówiła przecież szczerze. - Po prostu była pani uczciwa - oświadczył wielkodusznie.

Wiadomość, że Kublenstein jest bardzo mało znany w Stanach, nie mogła go ucieszyć, ale przynajmniej nie żywił już złudzeń na temat tego, ile wiedzą o jego kraju w Ameryce. Ogarnęło go przygnębiające poczucie osamotnienia, jakie dobrze znał. Nie litował się teraz nad sobą, po prostu zaciążyła mu samotność, do której od dziecka był przyzwyczajony.

- Jaki to piękny kraj.

Jej głos wyrwał go z zamyślenia. Wyjrzał przez okno i zobaczył znajomy szczyt góry, na której znajdował się jego pałac.

- Ach... - Wskazał ten widok. - Tak. - Był prawie w domu. Odczuł ulgę, jak zawsze. - Chociaż, jak pani to podkreśliła, jest mały.

- Nie zamierzałam pana urazić. - Spojrzała na niego. Zauważył, że dostrzegła jego zażenowanie. Nie podobało mu się, że ktoś go tak łatwo rozszyfrował.

- Zbliżamy się już do Lassbergu. Tam widać wieżę katedry - pokazał jej.

- Wygląda jak z baśni Andersena. Jak zresztą wszystko tutaj. Ciągle o tym myślę.

Zawsze był bardzo dumny z piękna swojego kraju. Toteż sprawił mu przyjemność ogromny podziw, jaki ujrzał w oczach Annie, mimo jej wcześniejszych komentarzy. Już dawno mu się nie zdarzyło widzieć, że ktoś ogląda jego kraj z rodzajem nabożnej trwogi, na jaką, jego zdaniem, zasługiwał Kublenstein. Trochę go to udobruchało.

- Nic dziwnego, że tyle baśni powstało w tych okolicach
- zadumała się.

Patrzyła na krajobraz z taką tęsknotą, że zaciekało go, co kryje się w jej sercu.

- Ten kraj wygląda tak, jakby ludzie żyli tu długo i szczęśliwie.
- Tak, niektórzy ludzie, jak przypuszczam - zgodził się. Głupi, romantyczni ludzie, dodał dla siebie.

- Mam nadzieję, że nie tylko niektórzy - roześmiała się i założyła ręce za głowę. W jej oczach zabłysła nadzieja.

- Jestem pewien, że pani również żyłaby długo i szczęśliwie, gdyby pani tu została - powiedział, zanim pomyślał. Umilkł, zdziwiony własnymi uczuciami. Dlaczego to mu się wysnęło? Głupio było tak dać się porwać jej entuzjazmowi.

Spojrzała mu w oczy i przez sekundę czuli niezwykle wzajemne porozumienie.

- Wierzę, że pani spodoba się tutaj - odezwał się, próbując odzyskać wewnętrzną równowagę. Musiał zachowywać dystans, musiał żądać respektu. Był do tego przyuczony od dnia narodzin. Dlaczego więc teraz popełnił błąd? Na pewno ze zmęczenia, bo przecież nie miał powodów, by zachowywać się tak swobodnie przy tej kobiecie. - To znaczy podczas pani wakacji. Większość z tych niewielu turystów, którzy nas odwiedzają, dobrze się bawi.

- Chyba ja też będę się dobrze bawiła. - Ziewnęła. - Och, przepraszam. A w ogóle już się dobrze bawię w pańskim kraju. I zrozumiałam tę aluzję o niewielu turystach.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Inteligentna dziewczyna. Znał ją zaledwie od godziny, ale zdążyła już wzbudzić w nim mieszaninę uczuć. Nie spotkał jeszcze nikogo takiego, doprowadzającego go do irytacji, a jednocześnie fascynującego. Gdyby zatrzymała się na dłużej, mógłby poznać ją lepiej. Choćby po to, żeby odkryć, co w niej wzbudza jego... ciekawość. Dzięki Bogu, ona nie zostanie tu długo.

- Wie pan, co zauważyłam interesującego? - Annie znów przerwała jego zamyślenie. - Uderzyło mnie, że jest pan takim indywidualistą. Zaskakuje mnie więc, że chciałby pan, by do pańskiego kraju napływali turyści. - Przyparła go do muru.

- Moje osobiste życzenia nie zawsze odpowiadają potrzebom mojego kraju. Kiedy muszę wybierać między tymi potrzebami a moimi własnymi, zawsze przedkładam dobro kraju nad własne.

- Och, jest pan prawdziwym patriotą. - Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Muszę być. To należy do moich obowiązków.

- Znam masę urzędników, którzy nie troszczą się o nic poza własną pensją.

- Więc ta praca im nie odpowiada.

- A panu? - zmierzała wprost do sedna sprawy.

- Nie sędzę, bym znał panią aż tak dobrze, żeby odpowiedzieć na to pytanie - odparł po chwili, przyjrzawszy się jej uważnie.

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

Wyglądała na lekko zdezorientowaną, ale z dobrą wiarą przyjęła jego odpowiedź. Na pewno na tym nie poprzestanie, to nie leżało w jej charakterze. Znał ją tylko godzinę, ale na tyle dobrze, że w to nie wątpił.

- Ale gdybym miała zgadywać - kontynuowała - powiedziałabym, że praca pana nie satysfakcjonuje.

- Doprawdy? - Spojrzał na nią.

- Mam na myśli to, że gdyby pan lubił tę pracę, prawdopodobnie byłby pan łaskaw o tym powiedzieć. Ludzie zwykle unikają ujawniania swych negatywnych uczuć, ale nie kryją się z pozytywnymi,

- Interesująca obserwacja. - Próbował przyjąć to obojętnie.

- Co prawda, nie znam pana tak dobrze, żebyśmy mogli o tym rozmawiać.

- Znowu nie mogła powstrzymać ziewnięcia.

- Nie - przyznał spokojnie. Mimo to czuł, że mogłaby bardzo łatwo ciągnąć rozmowę na ten temat.

- Proszę się nie krępować i poprawić mnie, jeśli popełnię jakąś gafę.

- Mówi pani jak dziennikarka. - Zmarszczył brwi.

- Albo może jestem po prostu stuknięta - zażartowała. - Przestraszył się pan?

- Bardziej niż może pani sobie to wyobrazić - odpowiedział uczciwie, mimo wszystko lekko się uśmiechając.

Musiła przysnąć na kilka minut, bo nagle ocknęła się, wtulona w kąt przy oknie. Siedzący naprzeciwko Hans czytał gazetę. Jak długo spała? Nie patrzył na nią, na szczęście, bo trudno jej było wyzwolić się z sennego marzenia, w którym byli razem, ona i Hans. Sen dał jej niezwykle poczucie emocjonalnego spełnienia. W ciągu tych kilku minut Hans stał się lekarstwem na wszelki ból i smutek samotności, jakie kiedykolwiek przeżywała. Stanowiło to dowód na nielogiczność snów, ponieważ człowiek, który jechał z nią w jednym przedziale, traktował ją chłodno, choć oferował jej swoją pomoc.

Odnosiła jednak wrażenie, że mógłby być inny. Potrzebował tylko kogoś, kto obdarzy go ciepłem i pokaże, jak cieszyć się życiem i nie zajmować się ustawicznie sprawami służbowymi.

- A więc prawdopodobnie dlatego musi mieć pan żonę - mruknęła pod nosem.

Opuścił gazetę i spojrzał na nią tak, że natychmiast zdała sobie sprawę ze swojego błędu. Wyprostowała się. Czy rzeczywiście mógł to usłyszeć? Kim był, mutantem?

- Przepraszam, co pani powiedziała? - zapytał.

- Ja... ja... - zaczęła się plątać. - Przypuszczałam, iż pańska żona... - gorączkowo szukała, co powiedzieć - zajmuje się dziećmi, kiedy pan wyjeżdża. - Mówiła chaotycznie, ale nie mogła już się wycofać. - Mówił pan, że ma dzieci?

- Nie mówiłem. - Popatrzył na nią przeciągle i pokręcił głową.

- Och, więc się pomyliłam. - Pociąg zaczął zwalniać, wjeżdżali już do Lassbergu. Skorzystała z okazji, by zacząć zbierać swój bagaż.

- Jednak mam.

- Co?

- Mam dzieci. Lecz moja żona zmarła kilka lat temu.

- Przykro mi. - Spojrzała na-niego, zaskoczona. Niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

- W jakim wieku są dzieci? - zapytała, uważając, by nie wkraczać na potencjalnie niebezpieczne terytorium.

- Obydwie córki nie mają jeszcze dziesięciu lat. - W jego oczach zabłysło małe światełko, jak zapałka w dużym ciemnym pokoju.

Jak córki de la Fuenza, którymi ona będzie się zajmować. Lubiła podopieczne ze szkoły podstawowej, w wieku, w którym dzieci zaczynają się interesować książkami i światem zewnętrznym.

- Musi być panu trudno wychowywać je samemu.
- Mam personel, który mi w tym pomaga. - Skrzyżował ramiona na piersiach.
- Personel. Ależ to brzmi imponująco. Czy to zwyczajna rzecz w Kublensteinie?
- Zwyczajniejsza niż w Ameryce, jak sędzę. Zresztą mam dużą posiadłość do utrzymania. - Przez chwilę milczał. - Czy w Stanach macie nianie i guwernantki?
- To bardzo rzadkie.
- Więc kto opiekuje się dziećmi, kiedy oboje rodzice pracują albo ich nie ma?
- Są przedszkola, świetlice. Ludzie radzą sobie z tym, chociaż nie zawsze jest łatwo. Sędzę, że to pewien luksus, móc zostać z dziećmi w domu albo mieć kogoś, żeby z nimi zostawał.
- Mhm - przytaknął. - Bardzo interesuję się amerykańskimi metodami wychowywania dzieci. Przynajmniej ich kilkoma aspektami - uściślił. - Na przykład dzieci amerykańskie są tak pewne siebie i śmiałe. To dobre cechy.
- Oczywiście. Po wielu latach pracy w szkole dostrzegam bezpośredni związek między ich zaufaniem we własne siły a wpływem rodziny.
- Doprawdy? - Ożywił się. To go najwidoczniej zainteresowało. - Co pani rozumie przez wpływ rodziny?
- Miałam na myśli to, że dzieciom wychodzi na korzyść, jeśli rodzice spędzają z nimi dużo czasu - formułowała słowa ostrożnie, by go nie obrazić. Z własnego doświadczenia знаła szkody, które mogą powstać, kiedy nikt nie interesuje się życiem dziecka.
- Często nie ma możliwości, by spędzać dużo czasu z dziećmi.
- Musi pan wygospodarować czas. ~ Wzruszyła ramionami. Przez chwilę wygląda! przez okno.
- Więc jest pan samotnym ojcem - zagadnęła go znowu. - To trudne.
- Tak - zgodził się. - Trudne i to bardzo często. Dziewczynki potrzebują obecności kobiety bardziej niż mojej. Miały wiele opiekunek, a jednak czasami wydają się tak bardzo... opuszczone. Spragnione uczucia.
- To właśnie pana problem - Annie znów nie zastanowiła się, czy powinna to powiedzieć.
- Przepraszam panią? - Nachmurzył się.
- Nic, nic - próbowała się wycofać, wiedząc, że popełniła kolejny błąd. - Nie powinnam była nic mówić. To nie moja sprawa.

Zawahał się. Skłonny był zgodzić się z nią w tym punkcie. Z drugiej strony będą razem jeszcze tylko przez kilka minut, a potem ich drogi się rozejdą i nigdy więcej jej nie zobaczy. Nic się nie stanie, jeśli pozna jej opinię. Poza tym przecież zatrudnił Amerykankę. To dla niego ważne - wiedzieć, z jakim stylem wychowania będzie miał do czynienia.

- Nie, nie, proszę, niech pani mówi. Pytałem panią. Naprawdę interesują mnie amerykańskie metody wychowawcze.

- Cóż... - wzruszyła znów ramionami. - Powiedział pan, że zatrudnił pan wiele opiekunek, ale dzieci tak naprawdę potrzebują tylko jednej osoby, na której mogą się oprzeć. Pana, jeśli pan jest w pobliżu. - Zamilkła na krótką chwilę. - Takie szybkie wymienianie opiekunek, jednej po drugiej, to dla dzieci duże ryzyko emocjonalne.

- Ryzyko emocjonalne? - Był szczerze zaintrygowany.

- Tak, a stwarza je brak jednego opiekuna, na którym można polegać, obojętnie, czy to pan, czy ktoś, kogo pan zatrudnił. Ale najlepiej pan.

- Moje dzieci wiedzą, że mogą polegać na każdym, kto u mnie pracuje. - Zaczął się bronić. Chciał usłyszeć jej refleksję ogólną, a nie opinię na swój temat.

- Ale być może to nie wystarczy.

- Wystarczy - uciął.

- Dobrze - zgodziła się Annie. W jej sercu zrodziło się coś w rodzaju troski o nieznane dzieci. - Proszę mi pozwolić tylko powiedzieć jedno. Dzieci potrzebują kogoś, kto będzie zawsze na ich zawołanie, nawet w banalnych sprawach, po lekcjach, przed spaniem, kiedykolwiek. Muszą wiedzieć, że mogą liczyć na tego kogoś, że będzie na miejscu wtedy, kiedy coś się dzieje. Nie byle kto, ale ktoś, kogo kochają i komu ufają i kto również je kocha. - Wiedziała, że być może przekracza granice dobrego wychowania, ale przedmiot tej konwersacji zbyt leżał jej na sercu, by zwracała sobie głowę zbędnymi konwenansami.

Pokiwał głową powoli, nie spuszczać z niej wzroku. Potem słaby uśmiešek pojawił się w kąciu jego zmysłowych warg.

- Nie ma pani własnych dzieci, prawda?

- Jak mówiłam, od wielu lat pracuję z dziećmi.

- Tak, ale póki ich pani nie ma, być może nie uświadamia sobie pani, jakie są ich prawdziwe potrzeby.

- Być może ma pan rację. - Powiedziała to spokojnie, ale nieustępliwie.

Hans nie zamierzał kontynuować dyskusji, usatysfakcjonowany tym, że sprawa została wyjaśniona. Zaczął układać listę spraw, którymi powinien zająć się jeszcze tego popołudnia. Trochę się lękał, czy wyjdzie z twarzą z tej rozmowy.

- Ogólnie biorąc - odezwała się, przerywając ciszę - jeśli ktoś wykorzystuje długi korowód opiekunek i nie może pojąć, dlaczego dzieci czują się emocjonalnie zaniedbane, nie sędzę, by potrafił słuchać, co chcą mu one powiedzieć.

- Mogę spytać, dlaczego panią to tak mocno obchodzi? - Hans rzucił jej twarde spojrzenie.

Zarumieniła się.

- Z przyczyn osobistych, prawda? - ciągnął dalej. - To żadna ogólna teoria wychowania, to pani własna.

- Wiedziałam, że pan to powie - odparła po dość długim namyśle. - Ale nie zmienia to sedna sprawy.

- Jakie są pani racje? - Dlaczego tak bardzo pragnął dowiedzieć się, co zraniło ją w przeszłości?

- To nudne. - Machnęła ręką na to pytanie. - Proszę o tym zapomnieć, nie powinnam z panem tak rozmawiać.

Przez chwilę ją obserwował, potem przeniósł wzrok na okno, szukając sposobu zmiany tematu, który najwyraźniej był dla tej kobiety zbyt drażliwy.

- Pociąg już stanął. Jesteśmy na stacji.

Wyjrzała i zobaczyła, że ludzie zaczęli już wysiadać.

- Mam nadzieję, że pan rozumie, że nie chciałam pana urazić - oświadczyła po raz drugi w ciągu godziny.

- Prosiłem o pani opinię i wyraziła ją pani.

Wstali jednocześnie, potrącając się. Annie czuła, że jakaś iskra przebiega między nimi, ale nie była pewna, czy to fascynacja, czy niechęć.

- Cóż, to była interesująca podróż - rzekła, próbując załagodzić sytuację, zanim każde pójdzie w swoją drogę.

- Interesująca, niewątpliwie - zgodził się.

Wyciągnął do niej rękę. Myślała, że chce wymienić uścisk dłoni, ale on pocałował ją w rękę. Odczuła przyjemny prąd, biegnący wprost do jej serca. On także musiał coś poczuć, bo odsunął się i spojrzał jej prosto w oczy.

- To była przyjemność poznać panią - oświadczył, szybko przybierając postawę chłodnego dystansu.

Opuścili przedział. Hans podał jej ramię, pomagając wyjść z pociągu, potem je cofnął. Kobiety stojące niedaleko w małej grupce zaczęły coś szeptać i poczuł się nieswojo. Duża taksówka jechała w ich stronę, podniósł rękę, by zatrzymać samochód. Pochylił się do okna i wydał polecenie kierowcy, mówiąc bardzo szybko po niemiecku. Potem otworzył drzwi Annie.

- Proszę dobrze się bawić w Kublensteinie - rzekł z tęsknym spojrzeniem. Chciał powiedzieć coś innego, ale umilkł.

- Dzięki. - Wsiadła do taksówki. - Na pewno będę.

- Do widzenia. - Zamknął za nią drzwiczki. Potem się odwrócił i odszedł.

- Do widzenia - odszepnęła już w wozie.

Śledziła go wzrokiem. Kiedy zniknął z jej pola widzenia, zaczęła się zastanawiać, dlaczego nagle ogarnęło ją poczucie pustki.

ROZDZIAŁ TRZECI

Hotel, który Annie zaproponował nowy pracodawca, był wytworny. W Europie nie mieszkała jeszcze w tak wygodnym pokoju, ozdobionym antykami, z którego okien można było patrzeć w dół na malowniczą uliczkę. Kosztował połowę tego, co przepłacona przez nią klitka z prostymi plastikowymi meblami, w której nocowała w Monachium.

Annie usiadła w wysokim fotelu przy oknie i myślała o pracy, jaka ją czeka. Przyglądała się ludziom na ulicy - kobietom o rumianych policzkach, dźwigającym papierowe torby z chlebem i innymi produktami, biegającym dzieciakom, ubranym w rzeczy uszyte najwyraźniej w domu, nie w żadne ciuchy od modnych projektantów, jakie lubiły uczennice w Pendleton. Myślała, że mogłaby zostać w Lassbergu na zawsze. Aż do dzisiaj nie zdawała sobie sprawy, że takie zaciszne miejsca istnieją jeszcze na świecie.

Jak będzie się jej tutaj mieszkać? Czy pozawiera jakieś przyjaźnie? Czy będzie prowadzić jakieś życie towarzyskie?

I czy jeszcze zobaczy Hansa?

Spróbowała stłumić tę myśl. Wie jednak, że on mieszka w tym małym mieście. Jak mogliby nie wpaść na siebie w jakimś miejscu? A jeśli tak się stanie, co ona wtedy powie?

„Halo, Hans, mam nadzieję, że nie zdenerwowała cię moja bliźniaczka w pociągu. Czasami wypowiada się bezmyślnie”.

Ale ona nie wypowiadała się bezmyślnie, ważyła swoje słowa. Może co najwyżej teraz udawać, że w ogóle nie była złośliwa, a przynajmniej nie miała takiego zamiaru.

„Hans, jak cudownie znowu cię widzieć! Czy pójdziesz ze mną na kawę?”

A może na to jeszcze za wcześnie?

W końcu postanowiła, że kiedy go znów zobaczy, padnie mu do stóp i nie będzie się w ogóle martwić, co ma powiedzieć. Mógłby odezwać się pierwszy. Lepiej jej wychodzą odpowiedzi niż improwizowane zagadywanie.

Po drugiej stronie placu zegar na wieży zaczął wydzwaniać godzinę. Piąta. Jak gdyby na ten sygnał z ciemnych chmur zaczęły padać drobne płatki śniegu. Annie patrzyła na to z osłupieniem, jak na cud. Serce jej przepełniała radość, którą chciałaby z kimś dzielić. Przyszły jej na myśl zielone oczy i lśniące ciemne włosy, ale odsunęła myśl o mężczyźnie z pociągu.

Siedziała, patrząc i marząc, przez jakieś piętnaście minut. Śnieg pokrył ulicę cienką powłoką. W końcu wstała, by rozprostować kości. Nadszedł czas, by coś przekąsić. Niesamowite, ale posiłek wliczony był w cenę pokoju. Kiedy jechała windą na górę, mogłaby przysiąc, że czuje zapach fondue ze szwajcarskiego sera. Ślinka jej napłynęła do ust na samą myśl o tym. Z walizki wyjęła sweter i ciepłe spodnie. Być może przejdzie się po mieście po kolacji i spróbuje zapoznać się trochę z jego topografią.

W jadalni rzeczywiście podawano gęste, pachnące orzechami fondue z sera gruyere. Zawieszista woń otaczała wszystko jak ciepła pierzynka, a kucharz skończył piec chleb zaledwie kilka minut przedtem. Annie zjadła się łapczywie świeżutkim pieczywem, fondue i chrupiącą zieloną sałatą. Do tego pochłonęła nie jedną, lecz dwie porcje ciepłego czekoladowego budyniu. Kucharz był zachwycony jej apetytem.

Potem poszła na długi, niespieszny spacer po mieście. Okazało się jeszcze ładniejsze, niż przypuszczała. Przystawała przed sklepami z drewnianymi zabawkami, przed warsztatem zegarmistrzowskim i zatłoczonym pubem na rogu, gdzie ludzie grali w strzałki. Wiele sklepików wyglądało tak, jakby pochodziły z powieści Dickensa. Wyobraziła sobie, że spaceruje tak każdego wieczoru po kolacji. Potem ujrzała w wyobraźni, jak je kolację z Hansem, który siedzi naprzeciwko niej. A potem, że siedzi z nim przed kominkiem... albo leżą razem na wełnianym dywanie przed kominkiem... Te myśli sprawiły, że przeszedł ją dreszcz.

Wróciła do swego pokoju o ósmej i zasnęła o ósmej piętnaście. Spała głęboko i obudziła się dziesięć godzin później, o szóstej rano czasu miejscowego. Na dworze wciąż panowała głęboka noc, ale mrok rozjaśniała lekka, biała powłoka śniegu, pokrywająca wszystko.

Annie czuła się lekko i zarazem aż do bólu samotnie. Wyliczyła, która godzina jest teraz na wschodzie Stanów i postanowiła zadzwonić do Joy, która zawsze potrafiła sprowadzić przyjaciółkę na ziemię. Wyjęła kartę telefoniczną z podróżnej torby i poszła zadzwonić.

- Czy go spotkałaś? - Joy zadała to pytanie natychmiast, kiedy usłyszała jej głos.

- Kogo? - spytała Annie, chociaż w przeciwieństwie do Joy znała odpowiedź.

- Kogoś?

Przez chwilę rozważała, czy nie zachować Hansa w sekrecie tylko dla siebie. Mimo wszystko nie mogła.

- Tak, byt facet w pociągu, ale nawet nie znam jego nazwiska. Nie sądzę, żebym się z nim jeszcze zobaczyła.

- Atrakcyjny?

- Niewiarygodnie.

- I pozwoliłaś mu uciec?

- Faktycznie uciekł - uśmiechnęła się trochę smutno. - Miał ochotę zwać, jeszcze zanim pociąg dojechał do miasta.

- Co mu zrobiłaś?

- Ogólnie biorąc, powiedziałam mu, że jego kraj jest mały i nic nie znaczący, chociaż uroczy, i że on źle wychowuje swoje dzieci.

- Zły ruch.

- Ty mi to mówisz.

- Cóż, więc zapomnij o nim. Wczoraj wieczorem widziałam migawkę o tym facecie, księciu Johannie, w jakimś filmie o monarchiach. Ten jest wart zachodu. Po prostu wspaniały.

- Daj spokój, on musi mieć chyba koło siedemdziesiątki?

- Kochanie, jeśli on ma siedemdziesiąt, ja mam osiemdziesiąt pięć.

- W porządku, babciu. Wiesz, nie mogę długo rozmawiać. Chciałam tylko usłyszeć przyjazny głos.

- Nostalgia? Nie zapominaj, że zawsze możesz wrócić do domu.

- Wiem - rzekła Annie, ale nagle ogarnęła ją pewność, że jest w domu. Nie mogła jednak powiedzieć o tym przyjaciółce, bo Joy nie zrozumiałaby tego nigdy.

W istocie sama Annie nie potrafiła tego zrozumieć.

Trzeciego poranka w Lassbergu pogrążoną w głębokim śnie Annie obudziło pukanie. Włożyła szlafrok i uchyliła nieco drzwi. Zobaczyła właścicielkę i wpuściła ją do pokoju.

- Na dole czeka jakiś człowiek ~ oznajmiła kobieta po niemiecku. - Mówi, że pracuje u pani nowego pracodawcy i że przyjechał po panią.

Annie przetarła oczy i próbowała zorientować się w sytuacji.

- Ale to idiotyczne. Oni mieli przyjechać przed jedenastą. - Popatrzyła na zegarek i skoczyła na równe nogi. - Ojej, już prawie jedenasta!

- Co chce pani, żebym zrobiła? - Właścicielka zaraziła się jej zdenerwowaniem.

- Proszę znaleźć jakiś pretekst i zatrzymać go. - Annie rozejrzała się po pokoju. - Zejdę najpóźniej za dziesięć minut. - Odmówiła krótką modlitwę

dziękczynną za to, że wcześniej spakowała wszystkie rzeczy i późnym wieczorem wzięła prysznic.

- Nie chce pani chyba kazać temu człowiekowi czekać. Przyjechał bardzo ważnym samochodem.

Starła się pojąć, co gospodyni miała na myśli, potem doszła do wniosku, że prawdopodobnie wysłano po nią samochód z rejestracją dyplomatyczną albo coś w tym rodzaju. Ma to zapewne związek z rządowym etatem nowego pracodawcy.

- W porządku, zejść natychmiast - obiecała.

Zaledwie po ośmiu minutach zjawiała się w hotelowym hallu. Niski mężczyzna, ubrany w uniform, wyglądający bardzo urzędowo, siedział w wysokim fotelu, w oddalonym kącie. Wstał, kiedy ją zobaczył.

- Panna Barimer?

- Tak.

- Jestem Christian. - Skłonił się lekko. - Będę panią dzisiaj woził. Czy to cały pani bagaż? - Kiwnął głową w stronę jej walizek.

- Tak jest.

Dał znak dwóm mężczyznom, żeby zabrali rzeczy do samochodu.

- Zająłem się już rachunkiem, więc jeśli jest pani gotowa, możemy jechać.

Annie pożegnała się szybko z właścicielką i poszła za Christianem do zaparkowanego przed hotelem długiego, srebrzystego mercedesa z flagami Kublensteinu i Lassbergu.

- Ojej - wstrzymała oddech. - Co pan de la Fuenza robi w rządzie?

- Nie ma żadnego pana de la Fuenza.

- Co? - Zamarła, wsiadając do samochodu. - Myślałam, że zatrudniają mnie państwo de la Fuenza.

Twarz Christiana pozostała nieprzenikniona. Nic nie odpowiedział.

Zamiast niego odezwał się inny mężczyzna, który siedział już na tylnym siedzeniu limuzyny.

- Marię de la Fuenza zmarła kilka lat temu - wyjaśnił po angielsku z amerykańskim akcentem, kiedy już usadowiła się obok niego. - Pani nowym pracodawcą jest jej mąż, Johann książę Kublenstein.

Annie nigdy nawet się nie śniło, że będzie kiedykolwiek pracować dla księcia. Zabrakło jej słów.

- Kim pan jest? - spytała w końcu Amerykanina, usiłując dojść do siebie.

- Proszę wybaczyć tajność tej operacji. - Pochylił siwą głowę i uśmiechnął się dobrotliwie jak Święty Mikołaj. - Ben Lyman, jestem ambasadorem USA

w Kublensteinie. Księżę i zmarła księżna należeli zawsze do moich bliskich przyjaciół, i to ja zasugerowałem księciu, żeby zachował anonimowość, dopóki pani nie będzie już na miejscu. Rozumie pani, służyło to zarówno dobru pani, jak i ochronie jego i jego dzieci. - Oczywiście.

Starła się to przetrawić, ale wszystkiego nie rozumiała. Siedziała na tylnym siedzeniu limuzyny, bardziej przestronnej niż jej salonik, oglądając, jak znika z jej pola widzenia malownicza miejska wieża zegarowa. Alpejska droga wiała się przez czarny las, a potem jak zaczarowana wznosiła się w górę, ku księżęcemu pałacowi.

Sprawy Annie przybrały niewiarygodny obrót, nie tego się spodziewała i to właśnie zbijało ją z tropu. Ben Lyman gawędził dalej, opowiadając o korzeniach rodziny panującej i historii miasta, ale ona myślała tylko, ledwie słuchając jego słów, że będzie pracować dla księcia. To znaczy też, że będzie mieszkała w jakimś pałacu przez najbliższy rok. Nieprawdopodobne.

Jednak to nieoczekiwane wyróżnienie również ją onieśmiało. Musiała teraz wziąć na siebie niezwykle poważną odpowiedzialność. W wychowaniu żadnych dzieci nie ma miejsca na błędy, ale w przypadku tych, które kiedyś będą u władzy, są całkowicie niedopuszczalne.

Samochód wjechał na brukowany dziedziniec przed ogromnym pałacem i Annie z powrotem zeszła na ziemię. To nie był sen. Znalazła się naprawdę w wieku dziewiętnastym. Jej przerażenie wzrastało, a musiała spełnić tu powierzone jej zadanie.

Ben wprowadził ją do pałacu. Ze spojrzeń służby Annie wyczuła, że spodziewali się kogoś dostojniejszego i prawdopodobnie starszego od niej. Zaczynała już myśleć, że najlepiej zrobiłaby, odwracając się i uciekając stąd, lecz właśnie wtedy podeszła do niej szeroko uśmiechnięta, starsza kobieta.

- Pani musi być Anastazją Barimer - rzekła. - Jestem Greta Entemain, osobista sekretarka księcia. Witam.

- Dziękuję. Proszę mówić do mnie „Annie”.

Była tak wdzięczna księżęcej sekretarce za ciepłe powitanie, że o matę się nie rozpląkała. Wyciągnęła do niej rękę. Greta uścisnęła jej dłoń uspokajająco.

- Chodźmy tędy. Jego wysokość będzie mógł panią przyjąć za około dwadzieścia minut. - Poklepała Annie po ramieniu. - Proszę za mną, Damy pani filiżankę smacznej gorącej czekolady i odpocznie pani przed rozmową z jego wysokością.

Jego wysokość. Na te słowa dreszcz podniecenia przebiegł Annie po plecach. Audyencja od początku do końca będzie prawdopodobnie podporządkowana bardzo formalnej procedurze. Wyrobiła sobie jakie takie pojęcie o monarszej pompie po obejrzeniu w latach osiemdziesiątych transmisji telewizyjnych ze ślubów w angielskiej rodzinie królewskiej. Musiała przyznać, że Europejczycy przywiązują wielką wagę do swoich tradycji.

Podążyła za Gretą do długiego marmurowego hallu, wysokiego może na trzy piętra. Ściany były bogato rzeźbione, od czasu do czasu ozdobione pięknym olejnym obrazem albo arrasem. Wydawało się, że przeszły kilometr, zanim znalazły się w obszernej; jasnej kuchni. Cała jedna ściana była przeszklona i światło słoneczne igrało na chromowanych lodówkach i kuchenkach wielkich jak piece hutnicze.

- Margaret Livens, to jest Annie Barimer - przedstawiła ją Greta drobnej, przysadzistej brunetce o małych, roześmianych oczach. - Margaret jest naszą kucharką.

- Miło mi panią poznać. - Annie ogarnęła spojrzeniem palniki i piecyki. - Wygląda na to, że ma pani dość dużo pracy.

- Dość dużo - Margaret przytaknęła entuzjastycznie. Annie ze zdziwieniem stwierdziła, że kucharka mówi z brytyjskim akcentem. - Na szczęście mam sporo do gotowania, inaczej bym tu dawno zwariowała.

- Pozwolę sobie teraz panią przeprosić. - Greta lekko dotknęła ręki Annie. - Przyjdę po panią, kiedy jego wysokość będzie gotów panią przyjąć. Wygodnie tu pani, czy też zaprowadzić panią do biblioteki?

- Tu jest naprawdę przyjemnie.

- Bardzo dobrze. - Greta uśmiechnęła się i wyszła. Margaret natychmiast postawiła na stół tacę z dwoma parującymi kubkami gorącej czekolady i usiadła razem z Annie.

- Tak. - Nalała z dzbanuszka śmietanki do jednego z kubków, zamieszała i wręczyła zabieloną czekoladę Annie. - Ma pani tu być guwernantką i uczyć angielskiego?

- Zgadza się. - Annie wzięła ciepły kubek i łyknęła przepysznej czekolady.

- Denerwuje się pani? - Margaret nie czekała na odpowiedź. - Kiedy tu przyjechałam, rzucałam się jak tygrys w klatce. Nerwy miałam tak napięte, że można było na nich grać jak na gitarze.

- Ile czasu trwało, zanim pani to przeszło? Margaret demonstracyjnie rzuciła okiem na zegarek.

- Ze dwa lata - roześmiała się.

- Mam nadzieję, że u mnie potrwa to krócej. - Annie popijała czekoladę, która rozgrzała ją i uspokoiła.

- Nie musi pani zbyt się tym przejmować. - Margaret dołała sobie śmietanki. - Większość nianiek, nauczycielek i guwernantek i tak nie zostaje tutaj długo.

- Ile ich tu było? - Miała wrażenie, że zadała zasadnicze pytanie.

- Co, nie powiedzieli pani? - Margaret zdziwiła się tak, że odstawiła czekoladę.

- Proszę mi powiedzieć. - Annie nagle zadrżała ze strachu.

- Według moich obliczeń tylko w tym roku piętnaście kobiet. - Wzruszyła ramionami.

- PIĘTNAŚCIE! - Annie zatkało. - Ależ te dzieci muszą być okropne!

- To nie dzieci. - Margaret zniżyła głos i pochyliła się ku niej. - To on - wyszeptała tak cicho, że Annie ledwo ją usłyszała.

Kiedy Greta prowadziła ją do gabinetu księcia, Annie niemal była zdecydowana złożyć rezygnację. Trzeba przecież zapobiegać przykrym doświadczeniom.

Marmurowy korytarz na tyłach pałacu był długi i zimny, jak gdyby mieszkały tu duchy. Annie dostała gęsiej skórki. Rozlegało się stłumione echo kroków. Ściany były fantastycznie zdobione, ale ona źle się czuła w atmosferze splendoru. Zastanawiała się, jaki ten książę jest. Prawdopodobnie pasował do otoczenia. Wnętrze zazwyczaj odzwierciedla osobowość człowieka, chociaż nie była pewna, czy to się sprawdza w przypadku monarszej posiadłości, liczącej kilka stuleci. Ciekawe, jak on wygląda? Joy twierdziła, że prezentuje się wspaniale, chociaż Annie nie zawsze podzielała jej gust. Prawdopodobnie znaczyło to, że nie ma jeszcze dziewięćdziesięciu lat. A może w swoim dojrzałym wieku przypominał bardziej Paula Newmana? Czy tyran, którego opisała Margaret, mógł mieć taką aparycję?

Zatrzymały się przed dużymi rzeźbionymi drzwiami na końcu korytarza. Greta zapukała tylko raz. Z drugiej strony dobiegło stłumione przyzwolenie, więc otworzyła jedno skrzydło drzwi.

- Wasza wysokość, nowa angielska nauczycielka i guwernantka do dzieci - zaanonsowała, lekko dygając.

Annie wzięła głęboki oddech i przestąpiła próg, zastanawiając się, czy też powinna dygnać, czy może byłoby to odebrane jako arogancja. Zdecydowała się na kompromis, skłaniając głowę.

- Anastazja Barimer - Greta wskazała Annie. - Anastazjo, to pani nowy pracodawca, panujący nam Johann książę Kublenstein.

- Jak się pan ma... - Annie urwała, bo zobaczyła, do kogo mówi. O mało nie upadła zemdlna na podłogę.

Za wielkim rzeźbionym biurkiem siedział przystojny Hans, rzekomy urzędnik z pociągu.

- Pani - powiedział cicho, wyraźnie zdumiony. Natychmiast się wyprostował i odchrząknął. - Nie miałem pojęcia.

- Ja też nie.

Zapadła bardzo niezręczna cisza.

- Proszę usiąść - odezwał się po chwili, wskazując jej stojące przed biurkiem krzesło takim samym gestem, jakim trzy dni temu wskazał jej miejsce w pociągu.

Jak wtedy, usiadła teraz naprzeciwko niego. Początkowy szok minął, ogarnęło ją tylko wzrastające poczucie nieuniknionej konieczności. Wszystko zaczynało się układać. Mówił, że stracił żonę, że miał cały szereg opiekunek do dzieci i dużą posiadłość do utrzymania.

- Przepraszam za tajemnicę, która otaczała pani przyjazd tutaj - zaczął. - Mam nadzieję, że zrozumie pani moją dyskrecję.

- Całkowicie.

Już się opanowała, usiłując teraz z trudem skupić myśli na pracy, a nie na nim. To książę, musi to sobie jasno i wyraźnie powiedzieć. Prawdziwy książę. Stłumiła westchnienie. Jak to możliwe, że mężczyzna tak niebywale przystojny rządził tak pięknym europejskim krajem, a ona nawet o nim nie słyszała? Zdaje się, że światowa prasa zajmuje się tylko brytyjską rodziną królewską.

Kiedy dawniej zdarzało jej się słyszeć - nieczęsto - o księżniczce czy księciu takim-to-a-takim, nie zdawała sobie nawet sprawy, że mogą mieć jakąś realną władzę. I nigdy nie przyszło-by jej do głowy, że jakiś europejski monarcha może być tak młody i atrakcyjny. Zawsze wyobrażała sobie księcia jako figurę z filmów - stary i uprzejmy lub młody i głupkowaty.

Hans nie reprezentował żadnego z tych typów.

- Jesteśmy bardzo ostrożni przy zatrudnianiu nowego personelu - ciągnął dalej.

- Wyobrażam sobie. - Skinęła głową. Nie było jej łatwo mówić spokojnie.

- Z pewnością jest wiele osób, które z chęcią opiekowałyby się dziećmi z

arystokratycznej rodziny, ale nie zatrzymają się nawet, żeby zwykłemu dziecku pomóc przejść przez ulicę.

- Obawiam się, że to prawda - skrzywił się. - Bardzo trudno znaleźć kogoś odpowiedniego. Mam nadzieję, że udało nam się teraz.

Annie pomyślała, że powiedział to z miną bardzo sceptyczną.

Tymczasem Hans nie posiadał się ze zdumienia, że kobieta, którą ściągnął z oddalonej o osiem tysięcy kilometrów prestiżowej szkoły z internatem, posiadająca jak najlepsze referencje i kwalifikacje do pracy w książęcym domu, okazała się tą samą dziewczyną, która w pociągu wyprowadziła go z równowagi, bystrą, nieustępliwą, szczerą, a nawet nieco zuchwałą. Obawiał się poza tym, że jest zbyt młoda, żeby wziąć odpowiedzialność za młode księżniczki.

Stanowiła jednak dla niego jeszcze inny problem. Zgoda, sam spytał o jej zdanie - i je usłyszał - ale wtedy nie sądził, że jeszcze się spotkają. Odstąpił od dystansu, który powinien dzielić pracodawcę i pracownika. Znała go tylko jako Hansa, bez przysługujących mu tytułów. Będzie dużo trudniej ustalić teraz właściwe służbowe relacje między nimi.

Uświadomił sobie nagle obecność w pokoju Grcty, która mogła zauważyć, w jakim jest nastroju.

- Dziękuję, Greto, to wszystko - oświadczył.

- Dobrze, sir. - Patrząc z ciekawością na nich oboje, opuściła pokój.

- W towarzystwie może się pani zwracać do mnie „książę Johannie” - odezwał się, kiedy już wyszła.

- Oczywiście. - Annie rozejrzała się dookoła. - Czy jesteśmy teraz w towarzystwie?

- Nie - odparł z powagą. Słusznie przewidywał kłopoty. - Teraz jesteśmy sami.

- Wiec jak mam pana teraz nazywać? - Zmarszczyła brwi.

- Prywatnie może pani do mnie mówić „sir”.

- „Książę Johann” publicznie, „sir” prywatnie. Zrozumiano.

- Z wyjątkiem, kiedy w pałacu ma miejsce publiczna ceremonia, na której jest pani obecna. Wówczas zwraca się pani do mnie, tytułując mnie „wasza książęca wysokość”. - Rzucił okiem na zegarek, zmarszczył brwi i przetarł szkiełko.

- A jak pan będzie do mnie mówił? - Annie poczuła się okropnie znudzona.

- Co proszę? - Przeniósł wzrok z zegarka na nią.

- Jak pan będzie do mnie mówił - odetchnęła głęboko - kiedy w pałacu będzie miała miejsce publiczna ceremonia i jak pan będzie do mnie zwracał się prywatnie?

- Będę zwracał się do pani „panno Barimer”.

- Cały czas? - Jeśli to był prawdziwy Hans, nie była pewna, czy go jeszcze lubi. Co się stało z mężczyzną z pociągu, który słuchał, a nie wydawał rozkazy?

- Z wyjątkiem przypadków, kiedy inne określenie wyda się bardziej odpowiednie - odpowiedział po chwili namysłu, dłużej się w nieskończoność, podczas której przyglądał się Annie badawczo. Chciał się przekonać, czy ona z rozmysłem mu dokucza,

- Rozumiem. - Wojowniczo uniosła podbródek. - A ja też mam uwzględniać podobne przypadki?

- Niektórzy mogliby powiedzieć, że jest pani impertynencka. - Uchwycił od razu sens jej wypowiedzi i sam był zdziwiony tym, że o mało się nie roześmiał.

- Owszem. Ale proszę mi wybaczyć, niektórzy mogliby powiedzieć, że pan jest arogancki.

Wiedział, że ona stwarza problemy, od pierwszej chwili kiedy zobaczył ją w pociągu, i nie miał jeszcze pojęcia, że stanie się jego problemem.

- Arogancki? - powtórzył.

- Owszem. Dlaczego „sir” teraz, a „Hans” w pociągu? - spytała wyzywająco.

- Ponieważ w pociągu nie była pani moją pracownicą.

- Byłam, tylko że pan nie był tego świadom. Ani ja, rzecz jasna.

- Panno Barimer, może unikajmy powoływania się na naszą rozmowę w pociągu. Lepiej będzie dla nas obojga, kiedy zaczniemy od nowa.

- Jednakże... - zawiesiła głos - sir, myślę o tym, o czym wtedy mówiłam.

Podniosła zdecydowanie głowę i coś ostrzegło go, że ona nie żartuje. Pamiętał to jej spojrzenie - i ogniste błyski w jasnych oczach - kiedy przekonywała go, że dzieci potrzebują oparcia i miłości. Być może zresztą dobrze się złożyło, iż to właśnie ona jest nową nauczycielką jego córek. Chciał kogoś, kto zaangażuje się całym sercem w opiekę nad nimi, chociaż nie musiał się zgadzać z jej oceną sytuacji.

- W porządku. Mówiła pani o oparciu, jakiego potrzebują dzieci, a ja zapewniam, że mogą je znaleźć.

- Z pana słów wcale to nie wynikało - zaryzykowała.

- Mam na myśli stałą uwagę, z jaką traktuje się sprawy ich edukacji, ubrania, zdrowia, nie wspominając, że oparcie stwarzają im domy, zarówno w mieście, jak na prowincji. Przy tym jest mnóstwo członków personelu, którzy mieszkali w pałacu jeszcze przed narodzeniem dziewczynek, znają je i opiekują się nimi przez całe ich życie.

Greta pracowała u niego jako sekretarka przynajmniej dziesięć lat, Leo, jego główny doradca, prawie dwadzieścia, chociaż Leo, ze swoim chłodnym, sztywnym zachowaniem prawdopodobnie nie był osobą, która wzbudzała zaufanie dzieci. Jeszcze był Christian, kierowca Hansa, a przedtem jego ojca.

- Opiekują się nimi? - powtórzyła. - To bardzo pięknie, ale co z miłością?

Cóż za typowo amerykańska postawa... Mimowolnie się uśmiechnął. Ona w naprawdę osobliwy sposób dawała pierwszeństwo emocjom. Naturalnie, że kochał córki bardziej niż cokolwiek na świecie, ale nie był pewny, czy miłość jest na szczycie hierarchii potrzeb małych księżniczek. Dla dzieci rodziny panującej równie ważne było zdyscyplinowanie. Stąd etykieta i dobre maniery, dostojne zachowanie w murach pałacu i poza nim.

- Panno Barimer. - Popatrzył na nią sceptycznie. - Pytałem panią już raz, dlaczego panią ta kwestia tak mocno obchodzi, że aż chce się pani kłócić. Wtedy pani odparta, że nie warto o tym mówić. Ale teraz sprawa ta wydaje się nie być bez znaczenia dla pani pracy tutaj, więc wolałbym, żeby pani szczerze opowiedziała o tych przyczynach.

- Nie zechce pan wysłuchiwać mojej osobistej historii. - Zmieszła się.

- Zechcę.

Odetchnęła głęboko. Najwyraźniej nad czymś się zastanawiała, może co powiedzieć, a co przemilczeć.

- Wychowałam się z bardzo silnym poczuciem bezpieczeństwa, jakie daje rodzina. Kiedy byłam dzieckiem, moja matka i ojciec zawsze byli otwarci na moje potrzeby, zawsze gołowi nadstawili uszu, kiedy się skarżyłam, chętnie też poświęcali mi kilka minut, żeby pomóc w odrabianiu lekcji. - Jej głos lekko się załamał. - To ma znaczenie dla całego dalszego życia. - Rozłożyła bezradnie ramiona. - Dlatego, kiedy słyszę o dzieciach, pozbawionych takiej opieki, bardzo mnie to zasmuca.

Hans podejrzewał, że w jej osobistej historii kryje się coś więcej, ale nie chciał jej do niczego zmuszać. Nawet teraz ogarnęła go śmieszna chęć, by chwycić ją w ramiona i pocieszyć. Zamiast tego odkaszlnął i poprawił mankiety.

- Tak. Cóż, dziękuję, że mi pani o tym powiedziała. Rozumiem teraz lepiej, dlaczego panią tak to obchodzi. Jednak mam nadzieję, że pani przyzna, iż w niektórych rodzinach stosunki są inne i niekoniecznie gorsze. - Nie czekał na odpowiedź. - A teraz inna sprawa. Co pani wie o protokole?

- Nic, sir. - Znowu wojowniczo zadarła podbródek.

- Więc trzeba się podszkolić. Greta pani pomoże. Do pani obowiązków należy nauczyć dziewczynki, jak mają przyzwoicie i z wdziękiem zachowywać się publicznie.

- Rozumiem - przytaknęła po chwili wahania.

To go uspokoiło. Niewykluczone, że chociaż jest uparta i nowoczesna, uda się ją nakłonić do wypełniania obowiązków guwernantki według jego życzeń. Była, rzecz jasna, dobrze wychowana, chociaż zapewne dawano jej zbyt wiele swobody w dzieciństwie. Z jej referencji i z tego, co sama opowiadała przed chwilą, wynikało, że pochodziła z dobrej rodziny. Jako przedstawicielka wielojęzycznej społeczności Pendleton musiała z pewnością bywać w kołach dyplomatycznych Waszyngtonu i okolic, gdzie mieszkało wielu rodziców jej uczennic. Prawdę mówiąc, podobało mu się to, że traktowała dzieci cieplej niż jego żona, a nawet matka.

Uświadomił sobie, że przekonuje siebie do niej, nie wiadomo dlaczego, bo nie miał już wyboru. Już ją zatrudnił i ściągnął ze Stanów. Powinien przynajmniej dać jej szansę. Jeśli się nie sprawdzi, zawsze będzie mógł ją zwolnić.

Postanowił ignorować uczucie rozpacz, która ogarniała go na samą myśl o tym.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po rozmowie z księciem Johannem - Hansem - Greta miała pokazać Annie jej pokój.

- Gdzie są dziewczynki? - spytała Annie, poprawiając uchwyt jednej z walizek, które teraz z każdym krokiem stawały się cięższe. Usiłowała nadażyć za sekretarką.

- Są w swoim pokoju. Zaraz je pani zobaczy. - Greta spojrzała na Annie z udawaną naganą. - Naprawdę powinna pani zgodzić się, żeby ktoś zaniósł pani bagaże.

- Nie miałam pojęcia, że będziemy tak długo maszerować. Ten pałac jest chyba tak wielki jak Wersal. - Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak Hans zareagowałby na jeszcze jedną aluzję do rozmiarów jego włości.

- Już jesteśmy. - Greta zatrzymała się przed białymi, rzeźbionymi drzwiami, które wyglądały identycznie jak co najmniej dwadzieścia innych w tym korytarzu. Ujęła mosiężną klamkę i otworzyła je szerokim gestem. - Pani nowe mieszkanie - oznajmiła.

Annie obejrzała się, usiłując szybko policzyć, które to drzwi, tak żeby potem móc je samodzielnie znaleźć, ale straciła rachubę. Niestety, nie znaczyła drogi, sypiąc za sobą okruszki chleba. Z westchnieniem weszła do pokoju... i zaparło jej dech.

Greta uśmiechnęła się.

Annie popatrzyła na nią, potem znów ogarnęła wzrokiem pokój. Jego wielkość sprawiła ją w osłupienie. Ściany, wysokie na co najmniej siedem i pół metra, były oklejone tapetami w delikatne różowo-złote paseczki. Olbrzymie okno w wykuszu wychodziło na górski krajobraz. Sufit nad jej głową zdobiły złote, lśniące korony. Łóżko, niesamowicie szerokie i wznoszące się wysoko nad podłogą, miało drewniany schodek z jednej strony oraz fantazyjny baldachim. Pokój urządzone wedle staroświeckich wyobrażeń o kobiecym wdzięku. Annie odniosła wrażenie, że przeszła na drugą stronę lustra i jak Alicja znalazła się w swojej własnej krainie czarów.

- Tam jest garderoba, a tu drzwi wprost do pokoju dziecinnego. - Greta starała się pokazać Annie jak najwięcej rzeczy, które mogą ją interesować. - A to...

- Proszę wybaczyć.

Obydwie drgnęły na dźwięk niskiego głosu. Greta z oczyma wybałuszonymi ze zdziwienia wycofała się do drzwi. Annie nie miała pojęcia, dlaczego przyjście Hansa tak zaskoczyło jego sekretarkę.

- To byłoby wszystko. Dziękuję, Greto. - Lekko skłonił głowę. Nie było wątpliwości, że ją wyprasza.

- Tak, sir. - Szybko obrzuciła wzrokiem ich oboje i znikła, zostawiając za sobą przytłaczającą ciszę.

- Zdaje się, że potrafi pan znakomicie przeganiać ludzi - zauważyła Annie swobodnym tonem.

- Zaznaczam, że nie została pani przegoniona - odparł spokojnie, ale wydało się jej, że widzi cień uśmiechu w jego oczach.

- A miałam być?

- Miała pani kilka ku temu okazji. - Tym razem uśmiechnął się tak, że Annie wstrzymała oddech. Przeszedł powoli przez pokój i stanął przy oknie.

- Na przykład kiedy okazało się, że to pani będzie u mnie pracować - Nie odwrócił się, więc nie mogła zobaczyć, czy jest zadowolony z tego, że została.

- Chciał pan mnie przegonić?

- Nie zdziwiłoby mnie, gdyby mnie pani do tego sprowokowała.

Na widok Hansa siedzącego za tym ogromnym biurkiem przyszyły jej do głowy różne rzeczy, także myśl o ucieczce. Najpierw był szok, potem ciekawość i ulga, że jeszcze raz może go zobaczyć. Poza tym chciała wiedzieć, co będzie dalej, jak to się skończy.

- Zostałam zaangażowana do pracy jako opiekunka pańskich dzieci - starała się mówić spokojnym, rzeczowym tonem. - Nie miałam zamiaru uciekać przed swoimi obowiązkami albo, jeśli pan woli, przed taką okazją.

Ich oczy na chwilę się spotkały.

- Miło mi to słyszeć. - Zaczął przemierzać pokój długimi krokami.

- Czekam z niecierpliwością na tę pracę - ciągnęła dalej. - Chociaż wstęp naszej znajomości był raczej niekonwencjonalny, mam nadzieję, że będzie nam się dobrze razem pracować.

- Nie razem, ściśle mówiąc - najeżył się. - Ale rozumiem, co miała pani na myśli.

- Właśnie. - Oblała się rumieńcem. Zapadła cisza.

- Między nami dwojgiem dziewczynki znajdą równowagę wpływów - Annie przerwała milczenie.

- Cieszę się.

- Ależ, Hans - to jest sir - mam nadzieję, że nie wykorzysta pan przeciwko mnie naszej rozmowy z pociągu. Nigdy bym nie zwracała się do pana w tak swobodny sposób, gdybym wiedziała, kim pan jest.

- Może lepiej się stało, że pani nie wiedziała. Chcę, żeby pani była sobą w stosunkach ze mną i z dziećmi.

- Tak, oczywiście. Marzę już o spotkaniu z dziewczynkami. Greta powiedziała, że ich pokój przylega do mojego.

- Tak jest. - Wyglądało na to, że zmiana tematu przyniosła mu ulgę. Otworzył drzwi w ścianie. - Besa, Marta, proszę, przyjdźcie tutaj - zawołał.

Rozległ się głośny trzask. Annie wzdrygnęła się, ale Hans tylko zmarszczył brwi.

- Ta piekielna pokojówka stłukła już trzy lampy w tym tygodniu. Zerwane zaręczyny to jeszcze nie powód, by...

- Tak, ojcze?

Małe księżniczki stanęły w drzwiach i sprawa zerwanych zaręczyn pokojówki i nieczułości Hansa przestała Annie zupełnie obchodzić.

Obydwie miały jasne, niemal białe włosy i obydwie nosiły jasnoniebieskie kraciaste fartuszki. Wyglądały jak na ilustracjach z jakiejś starej książki dla dzieci, ubrane uroczo staromodnie, ale zupełnie niepraktycznie, jeśli w grę wchodziły jakiegokolwiek zabawy na dworze.

- Tak, ojcze? - odezwały się obie po niemiecku.

- To wasza nowa guwernantka, panna Barimer - odpowiedział im w tym samym języku, wskazując Annie teatralnym gestem. - Będzie wam także pomagała w angielskim. Toteż odtąd w jej obecności będziemy mówić po angielsku.

- Tak, ojcze.

- Będziemy mówić po angielsku, ojcze.

Wydawał się z nich zadowolony.

- Panno Barimer, to jest Marta. - Położył dłoń na ramieniu wyższej dziewczynki. Annie zauważyła, że po ojcu odziedziczyła intensywnie zielone oczy.

- Jak się pani ma, panno Barimer? - Marta dygnęła.

- Mów do mnie „Annie” - poprosiła ją z ciepłym uśmiechem.

- Będą zwracały się do pani „panno Barimer” - zapowiedział krótko Hans.

- Dobrze, jeśli pan woli. - Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Tak, wolę. - Najwyraźniej nie życzył sobie sprzeciwu. - Muszą traktować starszych z szacunkiem. To nie jest letni obóz.

- Rozumiem. - Lekko urażona zwróciła się do drugiej dziewczynki. Spróbowała znów się uśmiechnąć, ale przyszło jej to z trudem pod badawczym spojrzeniem Hansa. Czuła, że jest gotów do ataku w każdej chwili.

- A ty na pewno jesteś Besa. - Przykucnęła przed młodszą dziewczynką,

- Tak. - Besa miała bardzo jasne niebieskie oczy i dołeczki w policzkach, kiedy się uśmiechała.

Annie już teraz wiedziała, że praca z tymi dziećmi sprawi jej przyjemność. Gdybyż to samo dotyczyło ich ojca... Wstała i popatrzyła spokojnie w oczy Hansa. Nie miała zamiaru dać się onieśmielić, choćby on bardzo się o to starał.

- Myślę, że będziemy się bardzo dobrze rozumieć, dziewczynki i ja.

- Liczę na to. - Poglaskał córki po główkach. - W porządku, zachowujcie się dobrze, słuchajcie panny Barimer. - Zwrócił się do Annie: - Pani i dzieci jecie kolację o siódmej w głównej jadalni.

- Dobrze, zobaczymy się tam. - Nie miała pojęcia, gdzie to jest, ale postanowiła, że raczej będzie przez pół godziny błąkać się po pałacu, niż spyta go o wskazówki.

Księżniczki popatrzyły na siebie.

- Ojciec nie jada z nami kolacji - powiedziała Marta łaskawym tonem. Annie doszła do wniosku, że musiała przejąć go bezwiednie od ojca.

- Nie jada?

- Nie, je kolację wtedy, kiedy jesteśmy już w łóżku.

- W łóżku? - Annie popatrzyła pytająco na Hansa.

- Ufam, że to nie pani problem. - Zamierzał już wyjść.

- Sir - zaczęła Annie.

- O co chodzi? - Zatrzymał się i odwrócił od drzwi, zniecierpliwiony.

- Czy mogę zamienić z panem kilka słów na osobności? - Spojrzała wymownie na dziewczynki.

- Dzieci, wracajcie do swego pokoju. - Westchnął. - Z panną Barimer jeszcze dzisiaj porozmawiacie.

Marta i Besa posłusznie wyszły.

- O czym chce pani ze mną mówić? - spytał, kiedy zniknęły, a Annie zamknęła za nimi drzwi.

- Cóż, wtedy w pociągu bardzo pana interesowały amerykańskie metody wychowywania dzieci. Jedyne powód, dla którego o tym teraz panu przypominam, proszę mi wierzyć, to...

- Tak, tak, jaki ma pani problem?

- Cóż - twarz jej płonęła, ale ciągnęła dalej. - W Ameryce rodziny jadają razem.

- Tutaj tego nie robimy.

- Rozumiem, ale wyraził pan zainteresowanie amerykańskimi zwyczajami. Ten akurat łatwo byłoby wprowadzić i miałyby to pozytywny wpływ na dziewczynki. Być może nie uświadamia pan sobie, jakie to ma znaczenie, lecz w Stanach przeprowadzano badania, które udowodniły, że dzieci, które jadły codziennie kolację ze swoimi rodzicami, były o wiele lepiej przystosowane społecznie od tych, które tego nie robiły. Miały lepsze stopnie i nie eksperymentowały z narkotykami.

- Nie jesteśmy w Stanach, panno Barimer. - Wyraz jego oczu ostrzegł ją, że wkroczyła na niebezpieczny teren. - Planowałem, że to dziewczynki poznają pewne elementy amerykańskiej kultury, ale nie ja.

- Tak, ale... - zamilkła i najwyraźniej zrezygnowała z tego, co chciała powiedzieć. - Już nic.

Powinien wyjść. Zajął właściwą pozycję w ich wzajemnych relacjach i gdyby teraz wyszedł, jeszcze by ją umocnił.

- Ale co, panno Barimer? - westchnął. - Co pani zamierzała powiedzieć?

Przez jej twarz przemknął ironiczny grymas.

- Tylko to, że powinnam nauczyć się rozróżniać, kiedy pan chce mojego wpływu, a kiedy nie.

Nastąpiła długa pauza. Najwyraźniej zastanawiał się nad uprzejmą, ale stanowczą ripostą.

- Zrobię, co będę mógł, żeby pani nie miała wątpliwości - rzekł, kończąc temat.

- Proszę mi wierzyć, nie chciałam sprawiać kłopotu, kłócąc się o wszystko.

- Annie chciała jakoś wyrzeć dobre wrażenie.

- Zamierzam dobrze wykonywać swoją pracę i pomagać dziewczynkom. - Poruszyła ją nagle samotność, którą dostrzegła w jego pięknej twarzy. - I chcę pomagać panu.

Przyglądał się jej przez moment, zdziwiony jej głupim, romantycznym wystąpieniem. Miała na niektóre sprawy takie naiwne poglądy, urocze i denerwujące zarazem. Ale czego mógł się spodziewać? Była taka młoda. Uśmiezek zadrgał mu na wargach.

- Doceniam to, że pani o mnie myśli - powiedział cicho. - Ale jestem poza zasięgiem pani pomocy. - Zatrzymał się jeszcze przed drzwiami. - Zobaczymy się o siódmej w głównej jadalni.

- Ach, tak się cieszę, naprawdę, nie będzie pan tego żałował... - Jej serce zabiło radośnie.

- A więc o siódmej - przerwał ostro.

Z oczu zniknęło gdzieś ciepło, które gościło w nich przez chwilę. Dostrzegła je przecież.

- Proszę się nie spóźnić.

Annie oczywiście się spóźniła, chociaż nieumyślnie. Faktycznie wyszła ze swego pokoju nawet kilka minut wcześniej, więc sądziła, że wystarczy jej czasu na znalezienie jadalni. Gdyby zajmowała się dziewczynkami, poszłyby tam razem, ale jej obowiązki zaczynały się oficjalnie następnego dnia. Pierwszy dzień miała dla siebie, żeby się urządzić i rozejrzeć dookoła. Trafiała więc na jadalnię dopiero po dwudziestu minutach bezradnego błakania się po pałacu, z nieodpartym wrażeniem, że istotnie rozejrzała się dookoła.

Wstrzymując oddech, weszła do jadalni. Panowało w niej milczenie.

- Bardzo przepraszam. - Pośpieszyła na miejsce znajdujące się na końcu stołu, naprzeciwko Hansa, - Miałam pewne kłopoty... - Nie chciała się przyznać, że po prostu zgubiła drogę. - To się więcej nie zdarzy.

- Może powinniśmy przygotować mapy? - zapytał Hans.

- Nie wiem, co pan ma na myśli - powiedziała ostro, ale nie mogła ukryć uśmiechu.

- Ojciec mówił, że słyszał pani kroki, kiedy chodziła pani tam i z powrotem po korytarzach - doniosła skwapliwie Besa, uśmiechając się promiennie. - Mówił, że jeśli pani szybko się nie zjawi, ktoś będzie musiał pójść stratować panią.

- Uratować - poprawiła ją Marta. - Powiedział, że ktoś będzie musiał pójść uratować panią.

- Rozumiem. A czy mówił kto? - spytała Annie, patrząc z ukosa na Hansa.

- Mnie przypadłaby ta przyjemność w udziale - odparł. Najwyraźniej stroił sobie z niej żarty, ale nie było to nieuprzejme.

- Przecież tutaj ściany i stropy są zbyt grube, by przepuszczały odgłos kroków - rzekła.

- Niemniej jednak... - wzruszył ramionami. - Być może miałem tylko przecucie.

Annie nie zdążyła odpowiedzieć, bo pokojówka, której przedtem nie widziała, wtoczyła do jadalni wózek zjedzeniem. Zatrzymała się najpierw przed Hansem i postawiła przed nim talerz, a następnie położyła na nim filet wołowy, kilka ziemniaków au gratin oraz sałatkę z zielonej fasoli doprawioną migdałami. Następnie obsłużyła małe księżniczki, wreszcie dotarła do ich nauczycielki. Tuż za nią postępował kelner, który nalał wina Hansowi i Annie. Dzieci dostały mleko.

- Mam pomysł, gdzie zabrać jutro dziewczynki. - Annie kroił aromatyczny filet. - Mogłybyśmy pójść na śniadanie do tej przemiłej pasztecjarni w mieście, a potem przespacerowałybyśmy się raz-dwa do pałacu. Pogoda jest...

- Panno Bari mer - przerwał Hans. - Są dwa problemy. Pierwszy: dzieci mają lekcje od ósmej do czternastej, więc nie zdążyłybyście wrócić na czas.

-- Och. - Annie zapomniała, że dziewczynki uczą się codziennie. - Więc możemy pójść tam po lekcjach.

- Czy możemy, ojcze? - Marta natychmiast odezwała się po niemiecku. - Proszę - dodała z błaganiem w oczach.

- Po angielsku - upomniał ją Hans. - I moja odpowiedź brzmi: nie. Księżniczki z panującej rodziny nie będą wałęsać się po ulicach Lassbergu. - Spojrzał na Besę, potem na Martę.

- Obie jesteście doskonale tego świadome, a pani też powinna być. - Utkwił wzrok w Annie.

- Mówi pan, że nie mogę wyprowadzać dzieci na spacer?

- Była zaszokowana.

- Oczywiście, że pani może. - Upił trochę wina. - Ale nie może pani opuszczać pałacowych terenów.

- Nigdy?

- Chyba że będzie ku temu specjalna okazja.

- Czy kiedykolwiek one wychodzą do miasta tak zwyczajnie, bez okazji?

- Nigdy - odparła Marta z przygnębieniem. Besa otworzyła szeroko oczy.

- Czy to znaczy, że nie wychodzą nawet z panem? - Annie chciała uprzedzić uwagę Hansa.

- Jak powiedziałem, wychodzą, kiedy jest ku temu specjalna okazja. Zazwyczaj jej nie ma. - Westchnął. - To po prostu niebezpiecznie prowadzić je w tłum ludzi.

- Proszę wybaczyć mi moją impertynencję, ale widziałam krążących tu cały czas ochroniarzy. Są dyskretni, ale dają się zauważyć. Z pewnością nawet największy paranoik może czuć się wśród nich bezpiecznie.

- Panno Barimer, angielski nie jest moim językiem macierzystym, więc proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę. - Jego oczy zwięzły się. - Paranoik nie jest określeniem pochlebny, prawda? - Nie było wątpliwości, że dobrze wie, co znaczy to określenie.

- Nie zamierzałam sugerować, że jest pan paranoikiem, sir, naprawdę. - Czują, że jej policzki płoną. Wyraziła się fatalnie. Czy kiedykolwiek nauczy się koniecznej tu dyskrecji? - Chciałam tylko powiedzieć, że nie byłoby niebezpieczne zabrać je gdzieś od czasu do czasu. Czy byłoby?

- Po co szukać kłopotów? - odparł Hans, zamykając dyskusję. Zajął się znowu jedzeniem.

Annie wiedziała już dosyć, by nie podejmować więcej tego tematu. Spróbowała czegoś w rodzaju śmietankowego sosu i zachwyciła się smakiem. Kiedy rozpatrywała wszystkie plusy życia tutaj, nie brała pod uwagę kulinarnych rozkoszy. Prawdopodobnie przybędzie jej na wadze co najmniej siedem kilo, zanim stąd wyjedzie, ale nie martwiła się tym. Każdy kilogram dostarczy jej wiele satysfakcji.

Po kilku chwilach spojrzała na Martę.

- Czego się teraz uczycie? - zagadnęła.

- Uczę się o Napoleonie Bonapartem i o rewolucji francuskiej. - Marta otarła usta serwetką.

- Naprawdę? Podoba ci się to?

- Muszę się o tym uczyć.

- Jestem pod wrażeniem, Marto. Mówisz po angielsku naprawdę całkiem dobrze.

- Nic jest pani pierwszą Angielką, która tutaj mieszka.

- Cóż, ktokolwiek was uczył, robił to bardzo dobrze. - W niewytłumaczalny sposób uwaga Marty zabolęła Annie.

- Nasza matka nas uczyła. Ona mówiła po angielsku tak doskonale jak królowa Anglii.

- Panno Barimer, czy nie możemy odłożyć tej rozmowy na kiedy indziej, kiedy nie będziemy siedzieć przy stole? - Hans odłożył nóż i widelec.

- Tak, oczywiście. - Odczekała chwilę. - Proszę pozwolić, że się upewnię. Pan nie rozmawia przy stole podczas posiłków?

- W normalnych okolicznościach nie.

- W normalnych okolicznościach jada pan sam, więc byłoby dziwne, gdyby pan rozmawiał. Mam na myśli sytuacje, kiedy jest pan w towarzystwie.

- Jesteśmy tutaj, by jeść, panno Barimer. - Rzucił jej lodowate spojrzenie. - Proponuję, żeby pani tym się zajęła.

To nie była subtelna uwaga, ale Annie się poddała. Zaczynała rozumieć, jakie tu są układy. Smarując masłem rogalik, doszła do wniosku, że pierwszego dnia zdażyła już popełnić tyle błędów, że rano prawdopodobnie zostanie zwolniona. Dlaczego nie potrafiła trzymać języka za zębami? Czy zawsze musi mówić to, co myśli? Niewyrażanie własnych poglądów nie stanowi jeszcze o nieuczciwości. Musi o tym pamiętać, kiedy w przyszłości będzie miała scysję z Hansem.

Dochodziła już północ. Hans siedział wciąż w swoim gabinecie. Ślęczał nad papierkową robotą, którą powinien skończyć po południu. Z trudem koncentrował się na pracy, odkąd przeżył wstrząs, dowiadując się, że Annie to Anastazja Barimer.

Miał straszne przeczucie, że sprawy nie ułożą się dobrze. Nie zamierzał jednak jej wyrzucić. Jakżeby mógł, przecież dopiero co przebyła osiem tysięcy kilometrów. Złożyła wymówienie w Pendleton, zlikwidowała mieszkanie. Gdyby zwolnił ją po pierwszym dniu, znalazłaby się praktycznie na bruku. Znał już ją na tyle, by wiedzieć, że duma nie pozwoliłaby jej wziąć odprawy pieniężnej.

Nie, musi ją oglądać jeszcze jakiś czas.

Odłożył papiery i wstał. Dzisiejszy dzień był długi, jutrzejszy zapowiadał się podobnie. Następny chyba też. Ale nie zamierzał z góry tym się martwić. Ma teraz inne rzeczy na głowie.

Kawa mu pomoże. Przeciągnął się i wyszedł z gabinetu, kierując się przez ciche korytarze w stronę kuchni. Zegar z kukułką w południowym salonie tykał zbyt głośno. Zawsze go to irytowało. Pozbędzie się tego zegara w najbliższych dniach.

Zatrzymał się. Czy to właśnie powinien zrobić? Pozbyć się cennych rzeczy tylko dlatego, że go irytują? Oczywiście, że nie. A przynajmniej nie bez przemyślenia.

Przestał o tym rozmyślać i wędrował dalej do kuchni, ale teraz natrętnie tykanie zegara towarzyszyło jego krokom jak złowieszcza muzyka w filmie. Byłby całkowicie usprawiedliwiony, usuwając zegary i pracownicy, które nie działają według jego upodobań, wytrącając go z równowagi. Musiał

zajmować się sprawami wagi państwowej i nie powinien się rozpraszać. Zwłaszcza że takie rozpraszenie nic mu nie daje. Na przykład jego kłopoty z Annie oznaczają tylko podwyższone ciśnienie i zgagę. Nie szkodzi to co prawda państwu, ale jemu samemu nie przynosi nic dobrego.

Leo wyraził się tak dzisiaj, kiedy rozmawiali o bardziej korzystnym podatku od eksportu, nad którym Hans pracował przez kilka ostatnich miesięcy. Myśli Hansa ciągle krążyły wokół Annie, Leo to zauważył, nie znając zresztą szczegółów sprawy, i zasugerował w dosyć ostry sposób, żeby znaleziono nową nauczycielkę.

Hans odpowiedział mu, że nie zamierza w tej chwili przedsięwziąć tak radykalnych kroków, ale rozumiał punkt widzenia Lea. Okazało się, że nad Annie trzeba nieco popracować, a tego nie brał pod uwagę. Doszedł do wniosku, że najwięcej kłopotów przysparza jej amerykańskie wychowanie. Sama powiedziała, że jest przyzwyczajona do innego stylu życia. To prawda, że zdradził zainteresowanie amerykańską kulturą, ale miał na myśli tradycję pionierów, przekonanie, które żywi chyba każdy Amerykanin, że można wszystko zmienić, poprawić, na wszystko wpłynąć. Pragnął, żeby jego córkom zostało wpojone to samo poczucie. Musi wyjaśnić to Annie. Nie zrozumiała, czego od niej chciał, przynajmniej częściowo z jego winy. Nie określił dość wyraźnie, czego oczekuje.

Lekko zirytowany na samego siebie przemierzył główną jadalnię i pchnął mocno skrzydłowe drzwi do kuchni. Otworzyły się tylko trochę. Z drugiej strony rozległ się stłumiony okrzyk, bez wątplenia kobiecy. Rozwarł skrzydła drzwi, pociągając je ku sobie i zobaczył Annie, lekko zaszokowaną.

- Bardzo przepraszam - powiedział natychmiast. Podał jej ramię, by poprowadzić do krzesła.

- W porządku. - Na policzki wypłynął jej delikatny rumieniec. - Otworzył pan drzwi, kiedy akurat wychodziłam i uderzyły mnie w kostkę. - Pokazała stopę w puszystym, pomarańczowym kapciu. - Nic się nie stało.

- Jest pani pewna?

- Tak. - Szczelniej otuliła się szlafrokiem.

- Mam nadzieję, że przyjmie pani moje przeprosiny.

- Oczywiście. Wiem, że nie próbował mnie pan wywalić w ten sposób.

- Wywalić?

- To znaczy pozbyć się mnie. - Uśmiechnęła się.

- Aha. Oczywiście, że nie.

Stali naprzeciwko siebie w ciemnej kuchni. Słabe światło rzucał tylko piecyk. Za oknami krajobraz skrzył się od śniegu.

- Jeśli pani zechce usiąść, zaparzę pani kawy.

- Och, proszę sobie nie robić kłopotu.

- To żaden kłopot. Zamierzałem właśnie przygotować sobie kawę. - Otworzył lodówkę. - Może być bezkofeinowa, jeśli pani woli. - Cóż on wyprawia? Przerwał na chwilę pracę, a tymczasem Annie zyskała nad nim przewagę. Był zdegustowany. - Nie boi się pani wracać do pokoju? - Właściwie nie chciał, żeby już wyszła.

- Wie pan, wolałabym zostać - zawahała się, patrząc na zegarek. - Ale naprawdę muszę już się położyć. Dziewczynki rano powinny być ubrane i po śniadaniu. Nie chcę wprowadzać bałaganu zaraz w pierwszym dniu pracy.

Poczuł ulgę, widząc, że jej tak na tym zależy.

- Cieszę się, że jest pani taka sumienna.

- Może przedtem panu pomóc? - Patrzyła na torbę, którą trzymał w rękach.

- Pomóc?

- Zaparzyć kawę.

- Nie, nie trzeba. Dziękuję bardzo.

Miała bardzo miły uśmiech, który zapewne często wykorzystywała, doprowadziwszy przedtem ludzi do rozpacz.

- A te mrożone warzywa...

Spojrzał na swoje ręce. Kucharka we wrznięciu zamroziła wszystkie letnie warzywa. Zamrażalnik był pełny. Wziął z lodówki nie to, czego potrzebował.

- Przekąska po kolacji - roześmiał się.

- Aha - przytaknęła niepewnie.

- Z pewnością pani się do mnie nie przyłączy?

- Nie. Może innym razem.

- Innym razem. - Potaknął, chociaż wydawało mu się, że to nie jest dobry pomysł. Nie chciał, żeby zatarła się granica, dzieląca pracodawcę od pracowników, a miał wrażenie, że Annie mogłaby tego dokonać. Ta myśl sprawiła, że uśmiechnął się niewesoło.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Rankiem Annie i dziewczynki siedziały znów w reprezentacyjnej jadalni, tym razem bez Hansa. Margaret podała pulchne i gorące naleśniki, polane syropem i bitą śmietaną z dodatkiem owoców. Nalała też Annie kubek parującej kawy, do której wrzuciła kawałek ciemnej czekolady.

- Czy dzisiaj jest jakiś szczególny dzień? - zagadnęła ją Annie.

- Nie, a dlaczego pani pyta?

- Ta ucza. - Annie wskazała stół.

- Co, nie jada pani tak w domu? Tutaj to zwyczajny posiłek dla wszystkich. Dla pani też.

- Do końca roku będę ważyła tonę- przepowiedziała Annie, dodając śmietanki do kawy. Z kubka unosił się apetyczny aromat. - I będę bardzo szczęśliwa. - Zwróciła się do księżniczek: - Dziewczynki, musimy od razu wyjaśnić jedną sprawę. Nie będzie żartów, kiedy któraś czegoś dobrze nie zrozumie, jasne. I chcę, żebyście obie zadawały w każdej chwili tyle pytań, ile wam się spodoba. To najlepszy sposób uczenia się.

- Bardzo dobrze.

- Tak, panno Barimer.

Ku jej zadowoleniu zgodziły się bez dyskusji na te warunki.

- Dzisiaj zaczniemy czytać opowieść o Frances Willman, małej wieśniaczce, która pomogła rannemu żołnierzowi podczas

I wojny światowej i na jeden dzień zatrzymała walki w Lassbergu. Znacze to?

Nie zdążyła jeszcze rozpakować angielskich i amerykańskich książek. Postanowiła, że zanim je uporządkuje, da dziewczynkom do czytania egzemplarz „Dnia pokoju”, który kupiła na lotnisku.

- Ojciec mówi, że ta historia jest upiększona. Opowiadał, że przez głupi przypadek dziewczynka wyszła na dwór, kiedy było bardzo niebezpiecznie i że przez to wielu ludzi mogło zginąć.

- Możliwe, ale uratowała komuś życie, nie oglądając się na siebie. To uczyniło z niej bohaterkę. - Przecież Hans u amerykańskich dzieci cenił najbardziej śmiałość, pomyślała..

- Powiedziała pani, że Frances była wieśniaczką - przypomniała Besa.

- Można być jednym i drugim - wyjaśniła jej Marta.

- Aha. - Besa spojrzała uważnie na Annie. - Co to jest wieśniaczka?

- To staromodne określenie... zwyczajnej osoby. Jej rodzina żyła i pracowała na wsi, nie miała żadnych tytułów i posiadłości. - Dziewczynki wyglądały na zbite z tropu. - Innymi słowy, nie była księżniczką jak ty i Marta.

- Często żałuję, że jestem księżniczką - przyznała apatycznie Marta, z dojrzałą rezygnacją, nie pasującą do jej zaledwie dziewięciu lat.

- Dlaczego, Marto? - Annie zaskoczyło to wyznanie dziewczynki.

- Nie możemy bawić się z innymi dziećmi. W telewizji widzimy, że dzieci robią różne rzeczy, na które nam się nie pozwala. - Westchnęła teatralnie. - A wszystko to dla naszego własnego bezpieczeństwa.

- Co chciałabyś zrobić, gdybyś mogła? - Annie spytała ją łagodnie.

Marta zastanawiała się długo, jak gdyby miała wiele życzeń.

- Sądzę, że chciałabym chodzić do szkoły z dziećmi w moim wieku.

- Ja chciałabym zjeść lody w parku - zaszczębiotała Besa.

- Nie wiem, czy mogę coś zrobić w sprawie waszej nauki w szkole, ale możemy kiedyś spędzić dzień w parku - uśmiechnęła się Annie. Albo wymyślić coś, by wyrwać was z pałacowych murów, żebyście mogły pobiegać jak normalne dzieciaki, dodała w myśli.

- Naprawdę? - Besa popatrzyła na siostrę zadowolona z siebie. - Proponuję park - powiedziała do niej po niemiecku.

- Po angielsku - upomniała ją Annie. - Pamiętajcie, że jesteśmy tutaj, żeby uczyć się angielskiego. Jedzcie, za kilka minut musicie być w klasie.

Jadły posłusznie, Annie zaś przypomniał się nagle pomnik małej wieśniaczki w Lassbergu. Byłby znakomitym celem wycieczki. Przez resztę śniadania rozmyślała, jak wziąć dziewczynki do miasta i jak przekonać Hansa, by na to pozwolił.

Dwadzieścia minut później Annie pertraktowała z Gretą przed gabinetem Haosa.

- Chciałabym zająć jego wysokości kilka chwil.

- Czy wszystko w porządku?

- Tak. Dotyczy to wyjścia dzieci na spacer.

- Rozumiem. - Sekretarka przeglądała kalendarz spotkań. - Może mógłby panią przyjąć około trzeciej po południu.

Pióro w jej ręku zawisło nad kartką, czekała na odpowiedź Annie, żeby to zapisać.

Annie odebrało mowę. Nie przypuszczała, że musi mieć wyznaczone specjalne spotkanie, żeby porozmawiać z Hansem o jego córkach. Ale

przecież nie przypuszczała również, że będzie pracować w książęcej posiadłości. Wszystko było tu dla niej nowością i powinna spodziewać się, że wiele spraw ją zaskoczy.

- Czy jest jakiś sposób, bym mogła zobaczyć się z nim teraz? Naprawdę bardzo mi przykro, ale zabiorę mu tylko chwilę.

- Przepraszam bardzo, ale jego wysokość pracuje i prosił, żeby mu nie przeszkadzać - Greta uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Panna Barimer, jak sądzę - odezwał się ostry głos za plecami Annie.

Zdziwiona, odwróciła się i ujrzała krępego, siwowłosego mężczyznę, wkraczającego do pokoju.

- Jest jakiś problem? - spytał szybko po angielsku.

- Panno Barimer, to Leo Kolbort, główny doradca księcia - wyjaśniła cicho Greta, jakby chciała Annie dać do zrozumienia, że nie jest on osobą, przy której można zachowywać się swobodnie.

- Nie ma problemu, panie Kolbort. - Annie uzbroiła się w odwagę. - Muszę tylko przez chwilę pomówić z księciem.

- Wydaje mi się, że słyszałem, jak Greta mówi, że jest zajęty. Burkliwy ton Lea zbijał Annie z tropu. Czuli się jak dziecko, któremu dyrektor szkoły daje reprimendę.

- Wydaje mi się, że ja również to słyszałam, dziękuję pani bardzo, ale to ważna sprawa - zwróciła się raz jeszcze do Grety, lecz znów powstrzymał ją głos Lea.

- Jego wysokość nie ma czasu, by nadzorować każdy pani ruch, panno Barimer. Zatrudniono panią po to, by mógł spokojnie rządzić tym krajem, a nie co chwila odrywał się od obowiązków, by zajmować się sprawami dzieci. Moja praca polega na tym, że pomagam mu w tym, by wszystko przebiegało gładko. Proponuję zatem, że jeśli w przyszłości nie będzie pani w stanie polegać na własnych sądach, zwróci się pani ze swoimi pytaniami raczej do mnie niż do niego. A teraz - przyjął oczekującą postawę - co chciałaby pani wiedzieć?

- Z całym szacunkiem, jego wysokość nie wspominał mi, że bym kiedykolwiek konsultowała się z panem. - Annie zadrżała na samą myśl o tym, że musiałaby spotykać się z tym człowiekiem za każdym razem, kiedy wyniknąłby jakiś problem związany z dziećmi.

- Panno Barimer, jestem pierwszym doradcą księcia Johanna. - Twarz niskiego człowieka poczerwieniała. - Jako taki staram się odsunąć od niego tyle kłopotów, ile mogę, aby mógł spokojnie pracować...

- Co się tutaj dzieje? - Głos Hansa jak ostry miecz przeciął napięcie.

Annie obejrzała się i zobaczyła go, stojącego w drzwiach gabinetu, z mroczną i władczą miną. Spojrzenie zielonych oczu pobiegło od Annie do Greta i Lea, a potem wróciło do Annie. Zamiast onieśmienia, poczuła dziwną ulgę.

- Wasza wysokość, potrzebowałam przez chwilę porozmawiać z panem, a tu pułkownik Klink powiedział, że nie mogę...

- Kolbort - warknął Leo.

Nie była pewna, ale wydało się jej, że widzi błysk rozbawienia w oczach Hansa.

- Poradził mi, żebym polegała na własnych sądach i postanowiłam właśnie, że tak zrobię. - Uśmiechnęła się słodko do Lea. - To była bardzo dobra rada.

- Więc nie ma problemu? - Hans zmarszczył brwi.

- Nie, nie, żadnego.

- I mogę wracać do pracy? - Spojrzał na Lea.

- Oczywiście, sir. Najpokorniej przepraszam, że przeszkodziłem.

Annie ze zdumieniem patrzyła, jak Leo się wycofuje. Greta zakasłała dyskretnie.

- Wasza wysokość ma za pięć minut konferencję telefoniczną. Czy zacząć łączyć?

- Tak, Greto. - Uśmiechnął się do sekretarki tak szczerze, że Annie uczuła ukłucie w sercu. Gdyby tak uśmiechał się do niej... Spojrzał przeciągle na nią. - Czy zamierza mnie pani przeprosić?

- Oczywiście - powiedziała ze ściśniętym gardłem. - Przepraszam, że zawracałam panu głowę.

Skinał lekko głową, ale tym razem nie miała wątpliwości, że uśmiech czaił się w kąciku jego ust.

Odrzuciła myśl, by uciec jak pies z podwiniętym ogonem. Starając się uspokoić, popatrzyła na sekretarkę.

- Jeszcze mam jedną sprawę. Potrzebny mi komputer z dostępem do Internetu.

- Oczywiście - zgodziła się Greta bez ceregieli. Spytała, jakiego serwera i programów Annie używa, jak zwykle robiąc notatki.

Obydwie nie zwracały uwagi na Lea, który stał obok jak nadzorca.

- To nie zabierze wiele czasu. Przyślę komputer do pani pokoju, jeśli to pani odpowiada - zapowiedziała Greta.

- Świetnie, dziękuję.

Annie odwróciła się i wyszła, czując się troszkę bardziej pewna siebie, chociaż wciąż przestraszona spojrzeniem Lea. Miała nadzieję, że jeśli dostanie zaraz zawału, na co wskazywałoby bicie jej serca, to padnie trupem, kiedy już zdąży zejść mu z oczu.

Niedługo po lekcjach Annie i dziewczynki zmierzały do miasta, schodząc ze wzgórza.

- Jest pani pewna, że możemy to zrobić? - martwiła się Besa.

- Nie marudź. Po raz pierwszy udało nam się wyjść bez tej piekielnej ochrony. - Marta pociągnęła ją za połę ciężkiego płaszcza.

Annie uśmiechnęła się, kiedy Marta użyła ojcowskiego wyrażenia „piekielna”. Co więcej, użyła go prawidłowo. Nawet Annie już zdążyła się zmęczyć obecnością kręcących się w pałacu ochroniarzy, chociaż czuła lekki dreszcz na myśl, że mogłoby ich w ogóle nie być. Prawdę mówiąc, nie wymknęły się podstępnie ochronie, po prostu nie wyszły przez drzwi frontowe, prowadzące na otwarty dziedziniec, tylko przez kuchenne, i to wyłącznie dlatego, że przez kuchnię było szybciej.

- Ojciec powiedział, że to pokojówka jest piekielna, nie ochrona - sprzeciwiła się Besa.

- Nikt nie jest piekielny - zakończyła spór Annie. - Tak się nie mówi o nikim. Wasz ojciec po prostu się zdenerwował, bo coś się stłukło.

Szły zaśnieżoną ścieżką, wdychając głęboko świeże, mroźne powietrze. Po drodze opowiadały sobie różne śmieszne historyjki. Na widok leżącego w dole ślicznego małego miasta Annie pomyślała, że nigdy nie rozpierała jej taka energia.

Dojście do rynku zajęło im zaledwie kwadrans, ale dziewczynki orzekły, że nigdy jeszcze nie wybrały się na dłuższy spacer. Za każdym razem opuszczały pałac w opancerzonym samochodzie.

- Czy możemy chodzić do miasta codziennie? - spytała Marta, wirując wokół słupa latarni.

- Codziennie to nie, ale obiecuję, że będziemy razem robić mnóstwo interesujących rzeczy.

- Zobaczcie! - krzyknęła Besa, pokazując pomnik małej dziewczynki. - To musi być Frances Willman!

- Tak - zgodziła się Annie. - Przyjrzyjmy się jej bliżej. Wzięła dziewczynki za ręce i przeszła przez ulicę. Pomnik miał około metra dwadzieścia wysokości i odlany był w brązie z wielką dbałością o szczegóły,

nawet rzęsy i guziki. Tabliczka na postumencie określała figurę jako „Dziewczynkę Pokoju”.

Usiadły na ławeczce pod pomnikiem. Annie wyjęła z torby książkę i zaczęła czytać opowieść o Frances Willman. Dziewczynki słuchały z wyteżoną uwagą, póki po dwudziestu minutach nie zamknęła książki. Niestety, Annie nie zauważyła, że kiedy czytała, zebrał się wokół nich tłumek szepczących gapiów. Schowała książkę do torby i dopiero wtedy ujrzała ludzi, a także zbliżających się do niej dwóch potężnych policjantów.

- Co pani robi z księżniczkami? - spytał jeden z nich po niemiecku. - Kim pani jest?

Drugi podszedł do dziewczynek i w ochronnym geście położył dłonie na ramieniu każdej z nich.

- Panno Barimer? - spytała przestraszona Besa.

- Wszystko w porządku, kochanie - uspokoiła ją Annie. - Jestem Anastazja Barimer, angielska opiekunka dzieci - przedstawiła się po niemiecku policjantom. - Przyszliśmy do miasta na coś w rodzaju... - bezskutecznie szukała niemieckiego odpowiednika „wycieczki krajoznawczej” - ...wyprawy. Uczyć się historii Lassbergu.

- Nie otrzymaliśmy o tym żadnej informacji z pałacu. - Twarz wielkiego mężczyzny pociemniała jeszcze bardziej.

Nagle z całą mocą uświadomiła sobie głupotę tego wymykania się przez tylne drzwi bez niczyjej wiedzy. Cóż. polegała na własnym sędzie.

- Nie sądziłam, że trzeba zawiadomić policję - wyjaśniła.

- Dopiero objęłam tę posadę, rozumie pan, i nawet nie wiedziałam, że będę pracować dla rodziny książęcej, zanim tu nie przyjechałam, więc obawiam się, że muszę jeszcze dużo się nauczyć - paplała. - Ale następnym razem na pewno zawiadomię was, zanim opuszczę tereny pałacowe.

- Sekretarka z pałacu zawsze nas zawiadamia, kiedy rodzina książęca udaje się na zaplanowaną wycieczkę.

Annie uśmiechnęła się z taką pewnością siebie, na jaką mogła się zdobyć. Zdawała sobie sprawę, że policjanci spełniają swój obowiązek i całe to zamieszanie zostanie wyjaśnione, skoro tylko uwierzą, że ona jest rzeczywiście tą osobą, za którą się podaje.

- Ach, tak, sekretarka z pałacu. Powinna była ją powiadomić przed wyjściem, ale, cóż, nie pomyślałam o tym. - Zwróciła się do policjanta, który stał przy dziewczynkach. - Jeśli zatelefonujecie do niej, na pewno

potwierdzi, że jestem upoważniona do opiekowania się księżniczkami. - Nie wątpiła, że Greta stanie po jej stronie.

Policjanci spojrzeli po sobie, jeden powiedział coś o telefonowaniu, a potem wyjął radiotelefon. Poprosił dyspozytora, żeby zadzwonił do sekretarki w pałacu po potwierdzenie tożsamości Annie. Kazano mu czekać.

- Naprawdę bardzo mi przykro, że narażam panów na takie kłopoty. - Annie starała się nie dostrzegać tłumu, który zebrał się wokół nich. - Następnym razem będę ostrożniejsza.

Policjanci nie odrzekli nic.

- Mam dosyć ochroniarzy. - Besa usiłowała odejść od umundurowanego policjanta. - Myślałam, że już się im wyśliznęłyśmy!

- Besa, nie wyśliznęłyśmy się im. Nie podsuwaj panom fałszywych sugestii. - Annie zarumieniła się.

- Czy mamy kłopoty? - spytała pobladła Marta.

- Nie, oczywiście, że nie. Greta, to znaczy pani Entemain, wyjaśni wszystko, a potem wrócimy do domu.

Odezwał się głos w radiotelefonie. Policjant rozmawiał przez chwilę, potem wyłączył radiotelefon i schował go do kieszeni.

- Czy teraz możemy iść? - spytała Annie.

- Obawiam się, że nie. - Pokręcił głową.

- Wie pan, nie chcę się z wami kłócić, ponieważ wiem, że staracie się wykonywać dobrze swoją pracę, ale sądzę, że to niezgodne z prawem. Prawdopodobnie zaskarżę cały oddział policji za to - omiotła wzrokiem tłum - publiczne upokorzenie. I za przetrzymywanie mnie wbrew mojej woli.

- Nie może nas pani zaskarżyć, panienko. To nie Ameryka.

- Więc księżę Johann zażąda waszych głów - walczyła rozpaczliwie. - Będzie wściekły, kiedy się dowie, co zrobiliście. I to w obecności jego dzieci.

Policjant nie zwracał na nią uwagi. Wyjął coś z wewnętrznej kieszeni. Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że to kajdanki.

- Zabierz księżniczki na komisariat - poprosił partnera. - Ktoś z pałacu przyjedzie tam i je odbierze.

- Proszę chwilę poczekać! - krzyknęła Annie, uświadamiając sobie, że niczego nie zyskała swoimi groźbami. - Sądziłam, że dzwonił pan do sekretarki w pałacu, Greta Entemain.

- Rozmawialiśmy z pałacowym urzędnikiem - powiedział wymijająco, zaciskając zimny metal na jej przegubach. W tłumie gapiów błysnął flesz, jak gdyby ją sfotografowano. - Pan Kolbort był bardzo poruszony tą sprawą.

- Pan Kolbort? - Annie czuła się tak, jak gdyby ktoś zadał jej ogłuszający cios.

- Powiedział nam, że księżniczkom absolutnie nie zezwolono opuszczać terenów pałacu - ciągnął policjant.

Nie wierzyła własnym uszom. Sprawy wymknęły się spod kontroli i nie mogła nic zdziałać.

- Nie, nie, musiał go pan źle zrozumieć.

- Nie było pomyłki. - Policjant zmierzył ją lodowatym spojrzeniem. Zaczął jej recytować, jak się domyśliła, prawa osoby zatrzymanej.

- Co się dzieje? - przerwała.

Zamilkł i przybrał dostojną minę. Najwyraźniej rozkoszował się myślą, że dla Hansa i całego kraju stanie się bohaterem, który uratował księżniczki.

- Jest pani, panienko, aresztowana za porwanie dzieci monarchy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Więzienna cela przypominała pradawny loch, miała ściany z grubych kamiennych bloków i wąskie, wysoko umieszczone okno, które wpuszczało nieco mglisto-mlecznego światła. Od korytarza oddzielały ją grube kraty. Usiąść można było na twardej koi, służącej jako łóżko, jedynym meblu w pomieszczeniu. Annie zostawiono samą w tej przeznaczony na tortury piwnicznej izbie.

Nie martwiła się jednak o siebie, chociaż prawdopodobnie powinna. Jeśli Leo pozwolił ją aresztować jako porywaczkę, kto wie, na co go jeszcze stać. Bardziej przejmowała się Besą i Martą. Chodziła po celi tam i z powrotem, dłonią przesuwając po zimnych kratkach i rozmyślając, jak pomóc dziewczynkom. Znajdowały się na pewno w dobrych rękach, ale chyba zdezorientowane i wystraszone. Skutki tego odczują długo po tym krótkotrwałym zatrzymaniu. Przyjemna wycieczka do miasta, którą tak się cieszyły, zamieniła się w koszmar. Annie miała nadzieję, że nie zechcą z przerażenia wycofać się do swego pałacowego zamknięcia. Istniała jednak taka możliwość i dlatego wściekała się na Lea i na siebie. Dlaczego nie pamiętała o tym, że należą do rodziny panującej? To wprawdzie dzieci, ale ze specjalną pozycją. Musiały być traktowane inaczej niż zwyczajne dzieciaki.

Przysiadła na niewygodnej koi i oparła się o ścianę. Po chwili wolała się położyć, bo twardy materac lepszy był od nierównych kamieni. Zastanawiała się, czy policjanci zadzwonili do ambasady amerykańskiej, czy też ona powinna była to zrobić.

Doświadczenia tego dnia wyczerpały Annie chyba bardziej, niż sądziła, bo kiedy otworzyła oczy, zapadły już ciemności. Na korytarzu rozległ się głośny szcęk kluczy w zamku.

Natychmiast usiadła, starając się zebrać myśli.

Drzwi korytarza otworzyły się i wkroczył Hans w asyście kilku strażników. Z daleka zobaczyła, że gniewa się na nią, niemniej jednak zrobiło jej się lekko na sercu, jak gdyby do więzienia przybył rycerz na białym rumaku. Nic nie szkodzi, może znieść jego gniew, nie zniosłaby jednak pięćdziesięciu lat w tej celi. Przyszedł jej na pomoc!

Staął przy kracie i najpierw chłodno przyjrzał się Annie, zanim się odezwał.

- Sądziła pani, że moje córki muszą poznać otaczającą rzeczywistość - starannie formułował zdania. - Czy miała pani na względzie w szczególności więzienie, czy też to tylko dodatkowa lekcja w pani programie nauczania?

Wewnętrzna siła, dzięki której Annie się trzymała, rozpadła się jak domek z kart.

- Tak mi przykro - powiedziała, ze wstydem odkrywając, że jest bliska płaczu. - To było jedno wielkie, straszne nieporozumienie. Bardzo, bardzo przepraszam.

- Myślałem, że dość jasno wyraziłem się na temat spacerów dzieci wyłącznie blisko domu. - Jego twarz pozostała nieporuszona.

- Cóż, to miała być jedynie krajoznawcza wycieczka. - Pociągnęła nosem.

- Na którą nie dostała pani zgody.

- Dzisiaj rano przyszedłem do pańskiego gabinetu właśnie po to, by ją uzyskać.

- Ale wiedziała pani, że się nie zgodzę, więc wyszła pani, nie rozmawiając ze mną na ten temat.

- Nie - rzekła stanowczo, chwytając za zimne pręty. - Wcale nie. Leo nie pozwolił mi z panem mówić. Powiedział, że przyjęło mnie, bym zajmowała się dziećmi i że nie powinnam zawracać panu głowy ich drobnymi sprawami, lecz działać według mojego własnego uznania, jako że po to mnie zatrudniono.

- Nie nazwałbym tego - wskazał kraty - drobną sprawą.

- Jak się okazało, nie jest to drobna sprawa - westchnęła.

- Oczywiście nie zamierzałam dać się aresztować i kazać dzieciom spędzić popołudnia w komisariacie. Ale to miała być zwykła wycieczka. Edukacyjna wycieczka.

- W skandaliczny sposób naruszyła pani reguły, które wyznaczyłem. - Pokręcił lekko głową.

- To nieprawda. - Odsunęła się od krat. - Leo powiedział mi, że ja sama mam decydować, co jest najlepsze dla dzieci. A jeśli jesteśmy przy nim - z obrony przeszła do ofensywy - dlaczego twierdził, że nie wie, kim jestem, kiedy policjanci do niego zadzwonili?

- Rozmawiałem z moim doradcą o tej pomyłce w oświadczeniu. - Obojętnie wzruszył ramionami. - Zapewnił mnie, że po prostu nie skojarzył pani nazwiska z dziećmi.

- Trudno mi w to uwierzyć, zwłaszcza że mieliśmy małą wymianę zdań kilka godzin wcześniej.

Zapadła długa cisza, podczas której Annie żywiła nadzieję, że Hans skłania się do jakichś ustępstw. Zamiast tego, wyprostował się tylko. Machnął ręką w stronę drzwi korytarza.

- Kończą wypisywać papiery. Ktoś przyjdzie zaraz z kluczem.

- Świetnie.

Znowu między nimi zapanowało milczenie.

- Spodziewam się, że odtąd będzie pani przestrzegała reguła - powiedział twardo.

Mierziło ją zobowiązanie się do czegoś, co, jak wiedziała w głębi serca, wcale nie było najbardziej korzystne dla dziewczynek.

- Obiecuję, że nie zrobię niczego, by wystawić dzieci na niebezpieczeństwo - ostrożnie dobrała słowa. - To było głupie z mojej strony zabrać je do miasta bez powiadamiania kogokolwiek, dokąd idziemy. Po prostu nie myślałam. Proszę mi wierzyć, dobrze zrozumiałam tę lekcję.

- Mam taką nadzieję.

Wszedł puciołowaty strażnik, podzwaniając kluczami na wielkim kółku. Ujrzawszy Hansa, ogromnie się zdziwił i skłonił się lekko. Postąpił krok i ukłonił się znowu, potem następny i ukłonił się jeszcze raz. Mimo że siedziała za kratami - a może właśnie dlatego - Annie musiała stłumić chichot.

Gdy strażnik otworzył jej drzwi, niemal wybiegła z celi. Wciąż prześladowało ją wrażenie, że będzie tu zamknięta na wieki.

- Dziękuję. Jest pan moim prawdziwym wybawcą. - Spontanicznie uściskała Hansa. Poczuła, że zeszywniał w jej uścisku, ale potem trochę się rozluźnił i też ją uścisnął. Przeniknął ją wtedy ciepły prąd.

- To przesada.

- Nie, naprawdę. - Cofnęła się. - Gdyby pan sam tu nie przyszedł, kto wie, ile czasu zabrałyby im formalności? Do licha, gdyby pan przysłał Lea, przesiedziałabym tutaj jeszcze trzy dni.

- A więc dobrze, że go jednak nie przysłałem - odparł, przybierając znowu zamyśloną pozę. - Będę o tym pamiętał w przyszłości.

Annie okazała się absolutną katastrofą. Gorszą nawet, niż Hans mógłby to sobie wyobrazić. Nie słuchała jego poleceń. Naraziła dzieci na niebezpieczeństwo. Oszukała wszystkich, wymykając się razem z księżniczkami do miasta.

Do tego uściskała go.

Uderzył pięścią w blat biurka i wstał. Było późno. Wszyscy już wyszli kilka godzin temu. Większość lamp wygaszono. Nie obchodziło go to. Mógł albo pracować, albo zjeść kolację z Annie i dziewczynkami, lecz nie chciał na nią patrzeć akurat teraz. Doprowadzała go do rozpacz. I bardzo pociągała.

Westchnął i rozejrzał się dookoła, żeby znaleźć coś, co zajęłoby jego uwagę. Uświadomił sobie, że musi w końcu przejrzeć i podpisać dość obszerny policyjny raport, który dostarczono mu kilka godzin wcześniej. Nie potrafił się do tego zabrać. Wymamrotał przekleństwo i podszedł do okna. Pofałdowane zasy śnieżne połyskiwały bielą w świetle stojących na dworze latarni. Wczesnym wieczorem zebrały się chmury i teraz znowu sypał drobny Śnieżek. Hans oparł się o parapet i patrzył jak zahipnotyzowany. W dzieciństwie nadejście śniegu zawsze wywoływało u niego dreszcz podniecenia, chociaż nie pozwalano mu wychodzić z pałacu i bawić się z rówieśnikami. Nie wiadomo, czy była to kwestia bezpieczeństwa, czy raczej to, że był jedynym dzieckiem w dusznym pałacu, w którym rządzą dorośli i protokół. W każdym razie dzieciństwo spędził bardzo samotnie.

Jednak śnieg ciągle zmieniał świat w krainę czarów. Mógł sobie wyobrazić, że wybiega na dwór, wciąga saneczki na wzgórze, potem wraca do pałacu na gorącą, parującą czekoladę. Później, rzecz jasna, nauczył się jeździć na nartach i opanowała "wszystkie sporty zimowe, o których marzył od dziecka, ale nigdy nie dały mu takiej przyjemności, jaką sobie wyobrażał, będąc małym chłopcem.

W gabinecie zrobiło się duszno, więc uchylił lekko okno. Mroźny powiew dodał mu energii. Miał ochotę pobiegać, wprawić w ruch mięśnie. Ale to nie pora i miejsce na takie bzdury.

Chciał usiąść znowu za biurkiem, ale jego uwagę przykuły jakieś krzyki na dworze.

- A masz!

Niewątpliwie krzyczała Marta. Rzucił się z powrotem do okna i zdążył zobaczyć, jak jego młodsza córka z piskiem pada jak długa na śnieg.

Niewiele myśląc, wypadł na korytarz. Musiał dotrzeć do dzieci. Gdzie są ochroniarze? Gdzie jest Annie? Dlaczego ich nie broni? Koniec z nią! Pragnął być wyrozumiały dla niej, nawet po tym pogromie na miejskim placu dzisiejszego popołudnia, ale ta napaść przepełniła kielich goryczy. Zaatakowano dzieci pod jego nosem, a ona dopuściła do tego!

Trzasnął kuchennymi drzwiami, w kuchni coś spadło, ale nie zatrzymał się. Nie obeszkoby go nawet, gdyby cała porcelana spadła z półek. Musiał być z córkami. Zdenerwowany, wybiegł bez tchu na dwór i od razu dostrzegł stojącą Annie. Śnieżka trafiła ją rykoszetem w ramię, włosy miała pokryte śniegiem. Ciemny płaszcz był cały nakrapiany śladami po śnieżnych kulach. Śmiała się.

- Dostałam panią! - wrzasnęła Marta.

Serce Hansa wciąż biło mocno z emocji. Coś tu nie grało.

Spodziewał się, że zobaczy przerażone córki, tymczasem ani nie płakały, ani nie drżały ze strachu. Ujrzał i usłyszał, jak się cieszą. Śmiały się, a Annie razem z nimi. Lepiły śnieżne pociski i obrzucały się nimi, wznosząc triumfalne okrzyki przy każdym trafieniu.

Potem podbiegły do miejsca, gdzie leżał czysty, świeży śnieg i rzuciły się plackiem, szeroko rozkładając ręce i nogi. Annie wstała i troskliwie pomogła podnieść się dziewczynkom. Kiedy wycofały się stamtąd, zaskoczyło go ich odbicie na śniegu. Anioły, trzy anioły.

Serce mu się ścisnęło.

Bawiły się jeszcze kilka minut, nieświadome, że on je obserwuje, stojąc na progu. Besa i Marta przechodziły z niemieckiego na angielski i z angielskiego na niemiecki, ale Annie stale je poprawiała.

- Czy to czary? - spytała Besa, ciągle pod wrażeniem odbicia na śniegu.

Radosny śmiech Annie rozległ się echem w zimnych murach pałacu i rozgrzał także serce Hansa.

- Nie, to nie czary, to tylko... śnieżne anioły. Naprawdę nigdy tego nie robiłyście przedtem?

- Nie. Jak pani się tego nauczyła?

- Nie wiem. - Annie znowu się roześmiała, wzruszając ramionami. - Każde dziecko w Ameryce wie, jak się robi śnieżne anioły. To część dzieciństwa.

- My nie jesteśmy w Ameryce.

Hans nie mógł się dłużej powstrzymać i wyszedł do nich. Starał się stłumić uśmiech, który, jak sam siebie przekonywał, był wyrazem ulgi, nie zadowolenia.

Wszystkie trzy spojrzały na niego zdziwione.

- Toteż przywiozłam tu trochę Ameryki. - Annie opanowała się pierwsza. - Może pan też spróbuje? - Wskazała śnieżne anioły.

- To wbrew mojej naturze - pokręcił głową, opierając się pokusie. - Albo przynajmniej tak mi powtarzano.

- To nie boli, zrobić coś czasami wbrew naturze - uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy. - Przynajmniej jeśli to przynosi ukojenie i radość.

Jakaś nić porozumienia nawiązała się między nimi i o mało się do niej nie uśmiechnął. Jednak nie mógł tak łatwo ustąpić. Pracowała tylko u niego, nic poza tym, i musiał traktować ją z dystansem. Tego właśnie zawsze go uczono: w stosunkach z pałacowym personelem utrzymywać dystans emocjonalny.

- Nie mam zamiaru - powiedział, choć myślał coś innego. Nagle coś lodowatego uderzyło go w policzek i ześliznęło się po szyi za koszulę. Od razu wiedział, co to jest, i odwrócił się z niedowierzaniem.

- A masz! - powiedziała Besa z szerokim uśmiechem. Nawet stąd widział, jak jej oczy jaśniały.

- Co proszę?

Tego wieczoru nie miał złudzeń, że może onieśmielić swoją córkę. Sam sobie musiał przypominać, że powinien wymagać szacunku dla autorytetu.

- Bawimy się w śnieżki - odparła z nieskończoną cierpliwością dziecka.

- Czy to fajne?

Przytaknęła skwapliwie, wyraźnie uradowana perspektywą, że on mógłby bawić się z nimi.

- Chcesz we mnie rzucać? Jestem panującym księciem Kublensteinu - lekko się uśmiechnął. - Zawsze nim jestem.

Annie roześmiała się. Odwrócił się ku niej i zaczęła śmiać się jeszcze bardziej, aż zgięła się w pół ze śmiechu. Uczciwie mówiąc, jeszcze nigdy czegoś takiego nie widział. Wydawało się, że od tego śmiechu pękają i wałają się szare mury pałacu, a ich miejsce zajmują ciepłe kolory. Przeważnie wszyscy wokół Hansa zachowywali się z taką rezerwą, że zaledwie mógł domyślać się w nich ludzkich istot. Przyzwyczyił się do tego stanu rzeczy od dzieciństwa. Ale Annie była inna i wszystko wokół niej stawało się inne. Niewątpliwie pod jej wpływem zmieni się życie w pałacu.

Najdziwniejsze, że Hansowi w ogóle to nie przeszkadzało. Obecność osoby, która nie boi się mu przeciwstawić, dodawała mu chęci do życia, nawet jeśli Annie sprzeciwiała mu się bardzo zawzięcie. Interesujące, jak nieprzewidywalne mogą być nawet codzienne drobiazgi. Właśnie tego poranka odkrył, że obudził się bardziej rześki i z zapalem rozpoczął pracę, ponieważ po prostu był ciekaw, co mu przyniesie nowy dzień. Zatrudniając Amerykankę, porzucił rutynę, którą był już bardzo zmęczony, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego zmęczenia.

Annie w pociągu emanowała energią i nie okazywała mu zbyt dużego respektu. Choć bardzo go ubodły jej uwagi o Kublensteinie, podobało mu się to. Być może dlatego, iż sądził, że nie zobaczą się już nigdy więcej. Kiedy weszła do jego gabinetu w roli nowej nauczycielki angielskiego, oczywiście ogromnie go zaskoczyła, ale wspominając to teraz, musiał przyznać, że nie było to zaskoczenie nieprzyjemne. Wzbudziła nawet wtedy jego ciekawość.

- Panno Barimer. - Patrzył w jej twarz rozjaśnioną śmiechem. - Czy pani śmieje się ze mnie?

- Nie śmieję się z pana. - Otarła łzy spływające po policzkach. - Śmieję się z panem.

- Aha. - Bardzo chciało mu się przyciągnąć ją do siebie.

- Aleja się nie śmieję.

- Ależ tak, śmieje się pan. - W jej głosie brakowało szacunku. - Nikt nie mówi serio: „Jestem panującym księciem Kublensteinu. Zawsze nim jestem”.

- Neguje pani moje słowa? - Zachowywał powagę.

- Nie! To właśnie jest takie zabawne. - Znowu wybuchnęła śmiechem.

Zastanawiał się, co by się stało, gdyby poddał się impulsowi i wziął ją w ramiona. Co by się stało, gdyby ją pocałował? Owładnęła nim chęć, by zaryzykować taką próbę. Ale przecież nie mógł jej pocałować. Nie pocałuje jej.

Zamiast tego, schylił się i pełną garścią nabrał śniegu. Ulepił z niego kulę. Na jego stanowisku było to wyjątkowo niestosowne.

Annie zobaczyła, co się święci, i zaczęła się cofać. Nie spuszczał z niej oczu. Jego córki już chichotały, wskakując w zaspę.

- Cel tej gry polega na tym, żebym kogoś trafił śniegiem?

- Postąpił kilka kroków w kierunku Annie.

- Tak, taki jest cel. - Nie ruszyła się z miejsca. - Czy ma pan kogoś szczególnego na myśli?

- Faktycznie mam.

Niech to Ucho, jaka jest ładna. Może to zasługa łagodnego światła, może padającego śniegu albo mroźnego powietrza, ale Annie wyglądała tak smakowicie, że chętnie by ją schrupał.

A bardzo dokuczał mu głód.

- Zróbmy jeszcze więcej śnieżnych aniołów - zaproponowała Marta, tracąc poczucie przyzwoitości.

- Och, zróbmy! - zgodziła się Besa.

Z głuchym odgłosem upadły w śnieg. Hans przeszukał wzrokiem zasy. Dostrzegł dwie czarne sylwetki i upewnił się, że nic im się nie stało. Potem nieoczekiwanie jego myśli znów skupiły się na Annie, na tym, z jaką cudowną łatwością potrafiła go natchnąć chęcią życia. Mogła też doprowadzić do rozpacz, popędliwa i uparta jak osioł, ale musiał przyznać, że odznaczała się niezwykłą inteligencją. W nieznośny sposób trwała przy swoim zdaniu, chociaż też częstokroć miała rację. I nie darzyła Hansa odpowiednim do jego pozycji szacunkiem. Jednak coś w niej było, coś, co nie pozwalało mu odejść.

Jeszcze trzy kroki i znalazł się blisko Annie. Podniosła ku niemu twarz, jej wargi rozchyłały się kusząco. Mimo mrozu w powietrzu wybuchł w nim płomień. Ale nie mógł temu dać upustu, zbyt długo przebywał w pałacowym chłodzie.

Zadrzała.

- Zimno? - zapytał ją.

- Właściwie to nie.

- Poddaje się pani?

- Nigdy - uśmiechnęła się.

Przez krótką chwilę myślał, że mógłby się w niej zakochać, gdyby był typem człowieka, który się zakochuje. Lecz nie należał do takich.

- A więc proszę. - Wziął jej dłoń w rękawiczce i włożył w nią śniegową kulę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pół godziny później Hans wrócił do gabinetu. Śnieg jeszcze nie stopniał na jego włosach i ubraniu. Postanowił przejrzeć wreszcie policyjny raport. Chociaż cały incydent trwał niespełna cztery godziny, dokument składał się z co najmniej pięćdziesięciu stron. Z przerażeniem pomyślał, ile energii i czasu zmarnowano na przygotowanie raportu.

Kiedy go kartkował, doszedł do wniosku, że rzecz przedstawia się nieco gorzej, niż sądził. Annie groziła, że zaskarży policję. Co sobie myślała? Czytał dalej. Włos zjeżył mu się na głowie, gdy przeczytał, jak zapowiadała, że Hans we własnej osobie „zażąda waszych głów”.

Jeśli gazety o tym doniosą, wyrze to fatalne wrażenie. Zwłaszcza że osobiście stanął w jej obronie, zjawiając się na posterunku policji i wyprowadzając ją z więzienia. Leo usilnie próbował odwieść go od tego, ale Hans obstawał przy swoim. Uważał, iż w pewnym sensie ponosi odpowiedzialność za to, co się stało. Domyślał się, że Annie musi być przestraszona i wytracona z równowagi tym zajściem, chciał więc pójść i wyjaśnić sytuację, którą sam mimowolnie sprowokował. Jednak w głębi duszy zaczynał podejrzewać, że chodziło mu o coś innego.

W każdym razie powinien był wiedzieć, że z Annie nic się łatwo nie układa. To do niej podobne, grozić policjantom. Roześmiałyby się, gdyby sprawa nie była tak poważna. Jasne, że w Stanach załatwiałoby się to w innym trybie. Annie przywykła, że może występować z groźbą procesu albo innych sankcji prawnych. Przyzwyczała się samodzielnie podejmować decyzje. Nie miała pojęcia o tych wszystkich komplikacjach, z którymi styka się na każdym kroku członek rodziny panującej.

Tu właśnie popełnił błąd. Podobał mu się pomysł, by jego córki znalazły się pod wpływem amerykańskiej kultury, ale niemożliwe było, żeby ktoś z Ameryki rozumiał, jaka jest pozycja rodziny monarchy w społeczeństwie. Annie nie miała pojęcia, czego oczekuje się zarówno od dzieci, jak od niej samej, póki jej tego wyraźnie nie wytłumaczono. Nie liczył się z tym, że Amerykanka jest tak niezależna i że trudno jej będzie przystosować się do życia w pałacu.

Mógł zrobić tylko jedno. Musiał ją zwolnić.

Usiadł przy biurku. Z szuflady wyjął papier i złote wieczne pióro. Ciężko wzdychając, zaczął pisać:

Droga panno Barimer!

Zdaję sobie sprawę, że może być pani zaskoczona, ale przemyślawszy nasze służbowe relacje, postanowiłem, że w interesie nas wszystkich byłoby zakończenie pani zatrudnienia. Najwyraźniej rzeczy nie układają się...

Przestał pisać, zmiął kartkę i wrzucił ją do kosza, w którym wkrótce znalazło się kilka podobnych zwiłków. To prowadziło donikąd. Powinien dać spokój i poczekać na Gretę, żeby mu rano pomogła. Jej energia i umiejętność stenografii sprawi, że pisanie pójdzie gładko. Jednak nie mógł czekać, musiał przygotować Ust teraz. Kiedy rozważał sprawę Annie, zawsze znikła jego umiejętność podejmowania szybkich decyzji.

Chciał zacząć raz jeszcze i znowu zrezygnował. Może będzie łatwiej, jeśli osobiście z nią porozmawia. Po krótkim namyśle odrzucił ten pomysł. Gdyby się z nią spotkał, mogłoby być jeszcze gorzej. Jakoś zawsze przekręcała wszystko, kiedy z nim dyskutowała. Z jej perspektywy czarne wyglądało na białe, a góra na dół. List mimo wszystko lepiej załatwi sprawę, przynajmniej Hans nie będzie oglądał reakcji Annie na wiadomość, że dostaje wymówienie.

Poza tym ich umowa wymagała pisemnego zawiadomienia o rozwiązaniu. Jego prawnik usilnie na to nalegał, ponieważ zwolniony pracownik, ogarnięty wściekłością, mógł bez pisemnej dokumentacji wysuwać fantastyczne roszczenia. Co prawda nie sądził, by Annie chciała wymyślać zarzuty przeciwko niemu, ale czasami ludzie sprawiają niespodzianki. Bądź co bądź nie przewidywał, że Annie będzie działała wbrew jego poleceniom, a przecież... Nie, jednak to przewidywał. Już w momencie, kiedy zdał sobie sprawę, że nauczycielką, którą zatrudnił, jest właśnie Annie z pociągu, wiedział, że to kobieta nie licząca się z autorytetami i postępująca według własnego przekonania.

Wierzył jednak, że intencje miała dobre, tylko słabe rozeznanie. Tym razem wszystko skończyło się bez katastrofy, ale nie wiadomo, co jeszcze może się stać. Dlatego właśnie powinien ją oddalić. Nie czynił tego z powodów osobistych. Nie miało to żadnego związku z zamieszaniem, jakie wprowadzała w jego myśli, ani też z ciepłem, jakie odczuwał w jej obecności.

Wyjął następną kartkę papieru i zaczął znowu. Nie chciał jej niepotrzebnie denerwować. Tym razem nawet nie zmiął papieru, zgarnął arkusz z biurka i pozwolił mu ulecieć w stronę kosza.

Kolejny raz wziął się do pisania w natchnieniu. Wiedział dokładnie, co i jak chce powiedzieć.

Droga panno Barimer!

Z wielkim żalem piszę ten list, by rozwiązać naszą umowę o pracę...

Lekkie pukanie do drzwi gabinetu rozproszyło jego skupienie. Z niesmakiem odłożył pióro.

- Tak, o co chodzi? - spytał zirytowany.

Drzwi uchyliły się nieco i zajrzała Annie we własnej osobie.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy mogę na słówko? Na sekundę czy dwie odebrało mu mowę, potem skinął na nią ręką.

- Może pani wejść - powiedział z wahaniem, zastanawiając się, co, u licha, przywiodło ją tutaj w szczególnie niezręcznym dla niego momencie.

Weszła i zamknęła cicho drzwi. Chociaż dochodziła już jedenasta wieczorem, ubrana była w elastyczne czarne spodnie i czarny golf, jak gdyby spędziła cały dzień na narciarskim stoku. Właściwie wyglądała jak modelka reklamująca narciarski strój. Nie biorąc oczywiście pod uwagę faktu, że była bosa. To pasowało do niej, rozwiewać od razu wyobrażenia na swój temat

- Wiem, że jest późno i że jest pan prawdopodobnie zajęty pracą. Widzieliśmy się już zresztą po tej popołudniowej... aferze, ale - opuściła bezradnie ramiona - tak mi przykro z powodu tego, co się stało. Chciałam jeszcze raz przeprosić pana, żebym mogła spać spokojnie.

- Panno Barimer, przeprosiny nie...

- Ależ tak, są, naprawdę.

- Co proszę?

- Przepraszam, przerwałam panu. - Spuściła głowę. - Sądziłam, że chciał pan powiedzieć, że przeprosiny nie są konieczne.

- Przeprosiny nie są konieczne - powtórzył z niedowierzaniem, choć zamierzał powiedzieć, że przeprosiny nie naprawią tego, co się stało.

- To naprawdę bardzo wielkoduszne z pana strony. - Znów nie dopuściła go do głosu. - Jest pan bardzo wyrozumiały w tej sytuacji. - Odetchnęła głęboko. - Być może nie powinnam tego mówić, ale zmienił się pan od naszego pierwszego spotkania. Chociaż pańska wiara w ludzi nie powinna mnie zaskakiwać. Sądzę, że to między innymi dlatego pański naród ceni sobie wysoko pana przywództwo.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Usiłował sobie wytłumaczyć, że to problem językowy.

- Być może niezbyt jasno wyraziłem swoje oczekiwania, kiedy zaczynała pani pracować. Szczerze za to przepraszam. Mimo to nawet w najśmielszych snach nie wyobrażałem sobie okoliczności, które zaistniały ostatnio.

- Proszę się nie obwiniać. Wiem, że to moja wina. Faktycznie brałam pod uwagę nawet rezygnację z pracy.

- Naprawdę? - Wyprostował się. To brzmiało interesująco, bardzo interesująco.

- Myślałam o tym przez chwilę - przytaknęła poważnie. - Ale proszę się nie martwić. Dotrzymam swoich zobowiązań wobec pana oraz Besy i Marty.

- Mówi pani, że... - Och, nie.

- Zostaję. Za nic na świecie ich nie zawiodę. Ani pana - dodała lekko.

- Jedno chciałbym wiedzieć.

- Co?

- Dlaczego pani stale podważa mój autorytet?

- Pan Kolbort zakazał mi panu przeszkadzać - zaczęła się bronić.

- Proszę mi pozwolić raz jeszcze przedstawić całą sprawę. - Hans podniósł rękę. - Dlaczego uparcie dąży pani do tego, żeby dzieci prowadziły życie, które w pani pojęciu jest „normalne”, chociaż przeważnie łamie pani reguły?

Przez chwilę rozważała odpowiedź.

- Ponieważ nie wierzę, że te reguły ustalono, uwzględniając dobro dzieci. A poza tym jedynie ktoś, kto się o nie naprawdę troszczy, powinien pokazywać im świat.

- Sądzi pani, że pani zna się lepiej na wychowaniu.

- Tak, tak sądzę.

- Mogę spytać dlaczego? Zawahała się.

- Pytam bardzo poważnie. - Hans wskazał jej krzesło, stojące przed biurkiem. - Jeśli zechce pani usiąść i wyjaśnić mi to, chemie posłucham.

Namyśliła się i usiadła.

- Mówiłam już panu, że kiedy byłam mała, moja rodzina była bardzo zżyta i że to dla mnie wiele znaczyło. - Westchnęła, potem odkaszlnęła.

- Pamiętam.

- Znam wartość rodziny tak dobrze, ponieważ ojciec zmarł nagle, kiedy miałam dwanaście lat. - Spuściła znowu głowę.

- Przykro mi. - Najwidoczniej to ciągle jeszcze ją bolało. Podniosła na mego wzrok. Nie płakała, ale na jej twarzy widać było wewnętrzne poruszenie.

- Potem wszystko się zmieniło, o tak - pstryknęła palcami. - Cały mój świat zawalił się, nie mówiąc o tym, jak przeżyła to moja mama. Musiała pójść do pracy. Musiałyśmy wyprowadzić się z naszego domu do małego mieszkania w nieprzyjemnej dzielnicy. Prawie nie widywałam mamy, a

kiedy udało mi się ją zobaczyć, była wykończona. - Jej głos załamał się i umilkła.

Hans bardzo jej współczuł. Nie miał wprawdzie takich doświadczeń życiowych, jednak ogromnie pragnął ją pocieszyć.

- Więc od tego czasu musiała pani sama troszczyć się o siebie?

- Wprowadziła się do nas babcia, ale nie była w stanie wiele pomóc. Często myślałam, że matce jej obecność nie ułatwiła niczego, lecz pogorszyła sytuację.

Hansowi przyszło do głowy, że gdyby się wtedy znali, mógłby rozwiązać większość jej problemów. Sam był zaskoczony, że uczuł nagły przyływ żalu.

- Kiedy się przeprowadziłyśmy - ciągnęła dalej Annie - zamieszkałyśmy w okolicy, gdzie rodzice wielu dzieciaków pracowali albo też ich po prostu nie było. Nie chcę uogólniać, ale to prawda, że dzieci, którym nie poświęcało się uwagi, nie były szczęśliwe i miały skłonność do wplątywania się w kłopoty. Często rodzice zaniebdywali je tylko dlatego, że nie chcieli sobie zawracać głowy ich małymi dramatami. Nie ma nic smutniejszego.

Przez chwilę oboje słuchali tykania zegara.

- W każdym razie - poprawiła się na krześle - nie miałam zamiaru snuć tak osobistych zwierzeń. Wiem po prostu, jak bardzo ważna jest zwykła uwaga. Nie uczą się okazałe prezenty na urodziny i specjalne okazje. Dzieci potrzebują kogoś w zasięgu głosu, kiedy mają kłopot z matematyką.

- Sądzę, że rozumiem, o co pani chodzi. - Nie uświadamiał sobie, że wstrzymuje oddech. - Jak się miewa teraz pani matka?

- Zmarła kilka lat temu - odrzekła cicho Annie. - To było wkrótce potem, jak zaczęłam pracować w Pendleton. Chyba czekała, by upewnić się, że dobrze się urządzę. - Uśmiechnęła się. - Szkoda, że nie może mnie teraz zobaczyć.

- Jestem pewny, że byłaby z pani bardzo dumna. Przez moment patrzyli sobie w oczy.

- Tyle chciałam panu powiedzieć. Faktycznie opowiedziałam więcej niż chciałam. Przepraszam za to, co zrobiłam i obiecuję, że nie zawiodę pańskiego zaufania.

- Na pewno nie.

- Dzięki.

- Zgodzimy się, że odtąd będzie się pani do mnie zwracać w każdej kwestii dotyczącej dzieci?

- Oczywiście - przytaknęła. - Obiecuję, że porozmawiam z panem, zanim zrobię cokolwiek, nawet jeśli to nie wykracza poza reguły.

- Dzisiejszy dzień nie może się powtórzyć. - Łatwo mu było udawać obojętność, kiedy wiedział już, że jej nie straci, a na samą tę myśl jego serce waliło jak młotem. Musiał jednak udawać.

Z zapalem pokiwała głową. Podeszła do drzwi i obejrzała się, o wiele bardziej kokieteryjnie, niż zamierzała, był o tym przekonany.

- Nawiasem mówiąc, dzisiaj wieczorem dobrze się bawiłyśmy. Cieszę się, że pan przyszedł i przyłączył się do nas. Dla Besy i Marty to bardzo wiele znaczy - dodała jeszcze po chwili.

- Też dobrze się bawiłem. - Poczul ucisk w gardle. Odchrząknął. Spojrzała znów na niego. - Jeszcze coś?

- Nie, nic.

- A więc dobranoc. - Obdarzył ją uprzejmym uśmiechem, a potem demonstracyjnie skupił uwagę na pustej kartce papieru, leżącej przed nim na biurku.

- Dobranoc.

Usłyszał, jak otwiera drzwi, a potem zamyka.

A więc ona zostaje. To dobrze. Od niego zależało, czy jej pomoże i wprowadzi w obowiązki, jeśli można się tak wyrazić. Spróbuje wyedukować ją tak, by stała się idealną wychowawczynią dla jego córek. To nie jest niemożliwe, ponieważ mimo wszystko Annie to inteligentna kobieta i troszczy się o Besę i Martę. Z pewnością zechce robić to, co dla nich najlepsze.

W jego umyśle zapaliło się światełko optymizmu. Może znaleźć pomyślne rozwiązanie problemów z Annie, niezależnie od tego, co stanowiło ich przyczynę.

- Mam zaproszenie do opery na dziś wieczór - oznajmił Hans Annie kilka tygodni później. - Chciałbym, żeby mi pani towarzyszyła.

- Dzisiaj wieczorem? Ale dzieci muszą wstawać wcześniej...

- Nie dzieci, tylko pani. Dla celów edukacyjnych - podkreślił, powtarzając jedno z jej powiedzonek. - Pozna pani trochę życie, jakie będą prowadzić księżniczki z rodziny panującej, i jako nauczycielka lepiej je pani do tego przygotowuje.

- Tak, rozumiem - zaczerwieniła się i odwróciła głowę, żeby tego nie zauważył.

Od czasu zabawy na śniegu nie była w stanie przestać myśleć o Hansie-mężczyźnie, oddzielając go od księcia Johanna. Wspólne wieczorne wyjście nie polepszy sytuacji.

- Czy ma pani odpowiednie ubranie?

- Tak, chyba tak.

Mając w pamięci radę Coco Chanel, przywiozła uniwersalną prostą czarną sukienkę. Według zapewnień Joy mogła ją nosić wszędzie, więc przypuszczała, że będzie odpowiednia także na wieczór w operze, jeśli nie uniknie tego wyjścia.

Co prawda wcale nie chciała tego uniknąć.

- Dobrze - stwierdził Hans, kończąc rozmowę. - Będzie pani gotowa o siódmej trzydzieści wieczorem?

- Ale...

- Tak? - Spojrzał na nią jak gdyby zdziwiony, że znajduje się jeszcze w gabinecie.

- Czy będzie także kolacja, czy też powinnam zjeść wcześniej? - Uderzyło ją natychmiast, że mogłaby spytać o to bardziej elegancko. Do licha, rozmawiała przecież z księciem.'

- Przedstawienie rozpocznie się po kolacji.

- Dobrze. Zobaczymy się wieczorem.

- Będę na to czekał. - Skłonił głowę, lekko rozbawiony. Annie zastanawiała się, czy z niej żartował, a jeśli tak, czy to by jej przeszkadzało. Kiedy zwracał na nią uwagę, przeszywał ją dreszcz. Na tym polegał cały problem. Co mogła przynieść miłość w miejscu pracy, jeśli tym miejscem był książęcy pałac Kublenstein, a miłością panujący książę? Jedyne kłopoty?

Pobiegła do swego pokoju, żeby zrobić sobie cyfrowe zdjęcie w sukience, którą planowała włożyć wieczorem. Komputer przenośny dostarczono jej już tego samego dnia, kiedy zatrzymano ją na policji. Teraz włączyła go do sieci, z przyjemnością obserwując pojawienie się na ekranie znanego jej programu internetowego. Włożyła dyskietkę i przesłała zdjęcie do Joy, wraz z żarliwą prośbą, by pomogła jej zmienić sukienkę w odpowiedni strój do opery.

Po południu sprawdziła swoją pocztę elektroniczną i z przyjemnością zobaczyła, że już nadeszła odpowiedź od przyjaciółki.

Temat: Opera!

Od: JoyS@Pendleton.org

Do: AnnieBar@ool.com

Nie mogę uwierzyć, że idziesz do opery z księciem Johan-nem! Może powinnam potem poszukać zdjęcia w jakimś piśmie ilustrowanym. Fatalnie, że on nie jest aż tak wielką figurą, żeby pokazała to telewizja CNN!

Twoja sukienka prezentuje się naprawdę dobrze. O ile pamiętam, leży na tobie doskonale, więc jej nie zakrywaj! Włóż zwykłe czarne rajstopy i lekkie czarne buty, nie te buciory ze zdjęcia! Żadnej biżuterii, jedynie twoje kolczyki z diamentami. Upnij włosy w kok. Wiem, że uważasz, że tobie to nie pasuje, ale pasuje i bądź co bądź idziesz do opery! Zrób makijaż prosty, ale elegancki. Musisz podkreślić oczy, chcesz tego, czy nie. Będziesz wyglądała zabójczo, a jak sądzę, tego właśnie pragniesz.

Potem lepiej do mnie zadzwoń i wszystko opowiedz.

Joy

PS Już cię widzę teraz, księżniczko Anastazjo (cha, cha).

Annie szybko wysłała Joy odpowiedź z podziękowaniami i z obietnicą szczegółowego opisu. Wyłączyła komputer i podeszła do szafy. Wyjęła bardziej wytworne pantofle od tych, które Joy widziała na zdjęciu, i razem z czarnymi rajstopami położyła obok sukienki.

Rozebrała się i wzięła prysznic. Dochodziła już szósta. Za dwie godziny wyjedzie z Hansem. Była to właściwie randka, nawet jeśli z polecenia służbowego. W każdym razie czuła się jak przed randką, ale nigdy nie umawiała się z kimś podobnym do niego.

Kiedy wyszła z łazienki, budzik przy łóżku wskazywał prawie szóstą trzydzieści. Wciąż miała jeszcze sporo czasu, by się ubrać. Wspaniale. Nie będzie musiała się spieszyć i denerwować.

Szczotkując włosy, podeszła do okna i spojrzała na coraz bardziej swojski krajobraz. Za tylnym podjazdem rozpościerały się góry i lasy. Z okien swojego mieszkania w Stanach widziała dawno opuszczoną stację benzynową i nowoczesny supermarket.

Myśli jej wróciły znowu do Hansa. Zastanowiła się, co znaczyło dla niego dorastanie właśnie tutaj. Musiał być bardzo samotny. Miała wrażenie, że teraz też, choć potrafił to czasami ukryć. Westchnęła. Lubiła Hansa. W głębi duszy żywiła przeświadczenie, że go rozumie. Takie złudzenia mogą być bardzo niebezpieczne, powiedziała sobie.

Ubrała się. Wewnętrzne przeczucie ostrzegało ją, że może ją czekać długa noc.

- Dziś chcę jechać rollsem - uprzedził Hans wczesnym wieczorem Christiana.

- Rollsem? - powtórzył kierowca. - Przepraszam, sir. Przygotowałem inny samochód. Nie wiedziałem, że to specjalna okazja.

- Rollsem - Hans pomyślał o Annie. - Umyj go i sprawdź, czy ma dość paliwa na tę malowniczą drogę do Genewy.

- Tak, sir. - Christian spojrzął na niego zaintrygowany.

- A, Christianie - Hans zawrócił, wychodząc już z garażu. - Jeśli będziesz miał w samochodzie zamrożonego szampana, będę ci bardzo wdzięczny.

- Tak, sir.

Przecież nie było nic niestosownego, że on i jego pracownica wypiją razem drinka po kolacji, jadąc na charytatywne przedstawienie. Wybrał oczywiście szampana, ponieważ w operze będzie podawany ten trunek, a Hans nie chciał mieszać alkoholi i dostać migreny. Miał nadzieję, że Annie tego źle nie zrozumie, tak jak najwyraźniej źle zrozumiał to Christian.

Wszedł na dziedziniec i przysiadł na czarnej żelaznej ławeczce. Na dworze było zimno, ale wcale tego nie czuł. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek tak wyczekiwał wycieczki do opery.

Skrzyżował ręce na piersiach i patrzył z przyjemnością na pokryte śniegiem wzgórze rozciągające się przed nim. Ta ziemia, jak okiem sięgnąć, należała do niego. Ciągłe dręczyła go opowieść Annie o jej dzieciństwie. On tymczasem miał przed sobą gwarancję bezpieczeństwa Nigdy w życiu nie martwił się ani przez sekundę, gdzie będzie jadł następny posiłek lub gdzie będzie mieszkał za rok, miesiąc czy tydzień. Przyszłość zapewniło mu jego urodzenie. Podobnie Bęsie i Marcie, przynajmniej pod względem finansowym.

Pojął teraz, dlaczego Annie tak bardzo obchodziło to, czy rodzice zajmują się dziećmi, dlaczego tak irytowała ją myśl o tym, że ludzie zaniedbują własne dzieci przez zwykłe lenistwo. Wyobraził sobie, jak zjawia się sam i pomaga małej Annie i jej matce po śmierci ojca. Uświadomił sobie, że nie sprawia mu przyjemności odgrywanie roli bohatera, ale radość na twarzy

Annie. Poczul się nieswojo, kiedy odkrył, że zaczyna szukać oznak tej radości. Przeszło tyle dni i przyzwyczaił się do widoku Annie, czekał na jej uśmiech i radość na twarzy. Nawet wynajdywał sposoby, by ją rozbawić i ucieszyć. Kilka razy nawet przełożył mniej ważne spotkania, ponieważ chciał być bliżej Annie i dziewczynek.

Leo byłby oburzony, gdyby o tym wiedział. Już zresztą prowadził kampanię, by pozbyć się Annie. Sądził, że ma zły wpływ na księżniczki. Oby nie domyślił się, że wywiera coraz większy wpływ także na ich ojca, bo kto wie, co wtedy by zrobił?

Hans wstał z ławeczki i poszedł przez wybrukowany dziedziniec do pałacu.

Właściwie nie powinien się martwić. Nie zamierzał dopuścić, żeby jakieś nieokreślone uczucia, które żywił dla Annie, odbiły się na jej pracy i na jego obowiązkach wobec kraju.

Był zresztą przekonany, że te uczucia wkrótce przeminą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Wieczorem Hans czekał na Annie w pałacowej recepcji, nerwowo przechadzając się tam i z powrotem. Nie był pewien, czym jest tak poruszony. Przedstawienie, na które się wybierali, nie wyróżniało się niczym szczególnym. Odczuwał niepokój prawdopodobnie po wypiciu kawy, przygotowanej po południu przez Margaret. Kucharka eksperymentowała z nowym aparatem do parzenia kawy i wyszła jej dość mocna mieszanka.

Ochroniarze siedzieli cicho w hallu, gotowi do drogi. Nienawidził tego, że gdziekolwiek szedł, podążała za nim ochrona, ale musiał pogodzić się z tą koniecznością. Jego ojca do śmierci otaczało bezustannie sześciu goryli. Kiedy gdzieś wyjeżdżał, jak Hans dziś wieczorem, ich liczba niemal się podwajała.

Usłyszał kroki i podniósł wzrok. Zjawisko, które ujrzał, sprawiło, że całe jego ciało przeszył dreszcz.

- Czas jechać - powiedział zbyt szorstko.

- Tak, wiem. Czy w tym stroju mogę zjawić się w operze? - Odłożyła płaszcz, który miała przewieszony przez ramię, żeby mógł lepiej to ocenić.

Dopasowana czarna sukienka nie sięgała kolan, odsłaniając niesamowicie zgrabne nogi w rajstopach. Kreacja była bardzo prosta, jednak Annie wyglądała szalenie elegancko. Jediną biżuterię stanowiły małe kolczyki z diamentami. Hans przy pomniął sobie diamentową kolie, która należała do jego matki. Pomyślał, że Annie byłoby w niej dobrze.

- Wygląda pani pięknie. - Pomógł jej włożyć płaszcz.

- Dzięki. - Lekko wzruszyła ramionami.

Hans zdał sobie sprawę, że nie doceniał jej urody. Teraz został olśniony. Nie przyznał się do tego, bo każdy komplement mógł wydać się przesadzony. Poza tym nie chciał, by odniosła wrażenie, że w grę wchodzi coś więcej niż sprawy służbowe.

Wszedł Christian z czapką w rękach.

- Samochód gotowy, sir.

- Wspaniale. - Hans wziął Annie pod ramię i poprowadził ją do błyszczącego, srebrnego rollsroyce'a.

- Och, nigdy nie podróżowałam tak luksusowo! - Nie mogła powstrzymać okrzyku podziwu.

To sprawiło przyjemność Hansowi.

- Nic szczególnego. - Otworzył jej drzwiczki, nie czekając, aż zrobi to kierowca.

- Cóż za rycerskość. Trudno mi będzie się do tego przyzwyczaić - uśmiechnęła się. - Co me znaczy przecież, że znowu gdzieś wyruszymy - poprawiła się natychmiast.

W samochodzie przyjrzała się tapicerce, lśniącem skórzanym siedzeniom, przyciemnionej szybie, oddzielającej tylne siedzenie od kierowcy, a nawet butelce szampana w srebrnym kubelku z lodem. Ogarnął ją przelotny żal.

Hans zamknął za nią drzwiczki, obszedł wóz i usiadł z drugiej strony.

- W pani kraju taki prosty gest uprzejmości uznaje się za rycerskość?

- W dzisiejszych czasach to absolutnie szokujące - zaśmiała się krótko.

Samochód wolno przejechał dziedziniec.

- Amerykanie mogliby nauczyć się jednej czy dwóch rzeczy od Europejczyków.

- Amerykanie mogliby nauczyć się od nich wiele. - Na przykład do czego służy ten telewizor na desce rozdzielczej?

Skupiła się znów na rozmowie, próbując ukryć, jak bardzo zbiło ją z tropu luksusowe wnętrze samochodu.

- Pana żona kilka lat mieszkała w Stanach. Nie mówiła panu, jakie widzi różnice?

Nie odpowiedział od razu.

- Przepraszam, to dla pana bolesny temat? - zmartwiła się.

- Nie, nie, próbuję sobie przypomnieć, czy w ogóle coś o tym mówiła. - Rzucił okiem na Annie. - Moja zmarła żona i ja... nie byliśmy w zażyłych stosunkach.

- Ach, przepraszam.

- Nie ma za co przepraszać. To był dobry związek.

- Brzmi to bardzo urzędowo.

- Bo takie było nasze małżeństwo.

- Pańskie małżeństwo stanowiło urzędowy układ? - Wyglądała na zaskoczoną.

- Oczywiście. Mój ojciec i ojciec Marii ustalili wszystko, kiedy byliśmy dziećmi. Dobry sposób, żeby zacieśnić związki i ułatwić handel między naszymi państwami.

- Udało się? - Trochę ją to zaszokowało.

- Oczywiście - roześmiał się. - Jak powiedziałem, był to dobry związek. Ale nie powtórzyłbym tego - powiedział z rozpędu i co gorsza, zaczął obserwować jej reakcję.

- Małżeństwa czy też małżeństwa z rozsądku?

- Jednego i drugiego. - Przyglądał jej się długą chwilę, potem wyjął zamrożoną butelkę z kubelka. - Szampana?

- Czemu nie? - ucieszyła się.

Przejechali przez miasto w milczeniu, sącząc pieniacego się szampana. Hans zauważył już dekoracje świąteczne na ulicach i wystawach sklepowych. Podobały mu się. Zwłaszcza że takie rzeczy sprawiają przyjemność turystom i skłaniają ich do powrotu.

Jadąc dalej przez atramentowo ciemną noc, zaczęli rozmawiać o operze, którą mieli zobaczyć. Hans z przyjemnością stwierdził, że Annie zna zarówno libretto, jak i kompozytora.

- Jest coś, czego nie rozumiem - odezwała się mniej więcej po kwadransie, zmieniając temat. - Dlaczego nie ma z nami dziewczynek, jeśli to właściwie z ich powodu mnie pan zabrał, chcąc zapoznać mnie z ich towarzyskimi obowiązkami?

Greta zadała mu to samo pytanie.

- Ponieważ - starał się wytłumaczyć po raz drugi - są jeszcze za młode, żeby to wytrzymać. Docenić operę można, mając więcej wykształcenia i doświadczenia życiowego. A ten spektakl to towarzyska rutyna. Chcę pani po prostu pokazać, w jakie życie trzeba wprowadzić moje córki.

- Rozumiem - pokiwała głową.

- Tak - potwierdził własne słowa. Gretę było trudniej przekonać. - Kiedy raz pani zobaczy, jakie jest życie monarchy, zrozumie pani lepiej, że wycieczki do miasta i ludowe historyjki o wieśniakach dają dziewczynkom zupełnie fałszywe pojęcie o czekającej je przyszłości.

- Mogły im przynieść pożytek, dając pojęcie o zwyczajnym życiu.

- Życzę sobie, żeby moje dzieci były przygotowane do kształącego życia, i tak się stanie, z panią czy bez pani. - Spojrzał na nią chłodno.

- Zrozumiano.

Hans przysięgłby, że dostrzegł uśmiezek w kąciku jej ust.

Trochę zatrzymano ich na granicy szwajcarskiej i w rezultacie przyjechali do opery niemal pięć minut przed ostatnim dzwonkiem. Nie było już czasu na dyplomatyczne i towarzyskie ceregiele. Hans stwierdził, że dopiero po przedstawieniu, kiedy podadzą drinki, będzie mógł namówić ulubienicę

mediów, księżną Linneę, żeby zjawiała się na uroczystym otwarciu nowej stacji narciarskiej w Lassbergu. Jej obecność gwarantuje zainteresowanie telewizji i prasy, przyciągnie też więcej turystów.

Pośpieszyli do zarezerwowanych miejsc w łoży. Usiedli, kiedy już gasły światła. Zabrzmiała muzyka i Hansa niemal natychmiast ogarnęła rozkoszna senność. Prawdę mówiąc, była to największa przyjemność, którą czerpał z opery. Nigdy nie przepadał za tą formą muzyczną, ale musiał tyle razy być na przedstawieniach, że się już przyzwyczyił.

W blasku świateł sceny obserwował profil Annie. Jej wzruszenie wskazywało na to, że bawi się całkiem dobrze. Może wpoi tę wrażliwość na operę Bęsie i Marcie, polubią bardzo takie spektakle i będą w celach reprezentacyjnych chodzić do opery bez niego. Ta perspektywa wyglądała nader pociągająco.

Wkrótce zaczął myśleć o innych sprawach, o planach obniżenia podatków, o imprezie charytatywnej, której miała patronować Marta, o otwarciu stacji narciarskiej, która niewątpliwie przyczyni się do rozwoju przemysłu turystycznego. Zamierzał porozmawiać o tym z Annie. Ciekawe, czy miałyby jakieś pomysły na ściągnięcie turystów także w miesiącach letnich. Był niemal pewien, że ona może coś wymyślić...

Rozbłysły światła na widowni. Annie otarła łzy spływające po policzkach, potem dopiero zwróciła się do Hansa:

- To było niewiarygodne, jeszcze nigdy w życiu... Sir? Hans? - Dotknęła go, ale nie drgnął i nie odpowiedział. Spał głęboko. - Hans - wyszeptwała nagłaco, szarpiąc go za ramię. Przed drzwiami łoży słyszała jakieś głosy. - Proszę się obudzić! Zasnął pan na przedstawieniu... - Nachyliła się nad nim.

Zanim zorientowała się, co się dzieje, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. Nie mogła się oprzeć.

- Hans... - Z trudem złapała oddech.

- Annie...

Ujął jej twarz w dłonie, pocałował znowu i Annie zaczęła zatracać się w tym pocałunku. Nagle drzwi łoży zaskrzypiały.

- Ktoś idzie! - Odskoczyła od niego.

- Annie? - spytał oszołomiony. Wyprostował się w fotelu i najwyraźniej próbował oprzytomnieć. - Przepraszam, coś pani mówiła?

W tym momencie zorientowała się, że on nic nie pamięta, nie pamięta, że ją pocałował.

- Mówiłam - głos jej drżał - że musiał pan zasnąć podczas przedstawienia.

- Dobry wieczór. Johann, dlaczego chowasz się tutaj? - zagrzemiał tęgi, siwowłosy dżentelmen, wkraczając do łoży.

Hans podniósł się natychmiast. Wyglądał tak wytwornie, Annie musiała mu to przyznać, jak gdyby wcale nie spał przed chwilą.

- Wolfgang. - Skłonił się lekko, potem ujął Annie za łokieć. - Pozwól przedstawić ci Anastazję Barimer. Anastazjo, to Wolfgang Fram, jeden z moich najstarszych i najlepszych przyjaciół.

- Anastazjo, bardzo mi przyjemnie panią poznać. - Czerwona twarz mężczyzny rozpromieniła się. Spojrzał na Hansa aprobująco. - Nigdy przedtem nie słyszałem o tej pięknej pani.

- Spotkaliśmy się dopiero niedawno.

Hans przysunął się do niej bliżej, być może dlatego, że mieli już wyjść do foyer. Nie ruszył się jednak.

- Podobała się pani opera, Anastazjo?

- Bardzo. - Uśmiechnęła się. Pocałunek Hansa wciąż palił jej wargi. - To był cudowny wieczór. - Kątem oka dojrzała, że Hans gderliwie potrząsnął głową.

- Cieszę się, że tak młoda osoba lubi operę.

Do ich łoży zajrzała piękna blondynka. Hans od razu ją zauważył.

- Przepraszam was na chwilę - powiedział. - Muszę się z kimś zobaczyć. - Podszedł do niej.

Wolfgang nadal gawędził o operze, o jej symboliczności i znaczeniu dla współczesnego człowieka, ale Annie ledwie słyszała jego słowa. Skupiła się na księciu Johannie i na platynowej, smukłej blondynce, obwieszanej diamentami, z którą rozmawiał w drzwiach. Ich głowy chyliły się ku sobie, od czasu do czasu on uśmiechał się do niej uśmiechem, od którego Annie bolało serce.

- A z kim to rozmawia Hans? - zaciekawiał się Wolfgang mimochodem. - Włożył monokl w oko i szeroko się roześmiał.

- Ależ to Linnea! Nie miałem pojęcia, że będzie tu dziś wieczorem, a pani?

- Linnea? - powtórzyła Annie.

- Linnea księżna Borgdach - poinformował ją starszy pan.

- Widzę, że udało jej się jakoś pozbyć dziennikarzy, którzy stale koło niej krążą.

Dziennikarze. Księżna Linnea. Usłyszała ostrzegawczy dzwonek. Cały świat znał słynną Linneę, wdowę po jakimś mało znanym europejskim księciu. Annie miała wrażenie, że często widywała ją na okładce pism

ilustrowanych w poczekalni u lekarza. Linnea była piękna, bogata i utytułowana. Doskonała partia dla Hansa. Nic dziwnego, że tak pośpiesznie się oddalił, w tej samej chwili gdy ją dostrzegł.

- Chodźmy przywitać się z Linneą - ponaglił Wolfgang.

- Och, nie, doprawdy...

- Chodźmy, chodźmy...

Nie miała wyboru, musiała podejść za nim do Hansa i Linnei, najwyraźniej pochłoniętych rozmową.

- Hans, drogi chłopcze, nie sędzę, żeby Anastazja i Linnea spotkały się przedtem.

- Nie sędzę. - Linnea rzuciła spojrzenie na Hansa i uśmiechnęła się. Mówiła z pięknym angielskim akcentem. - Ale właśnie spytałam Hansa, kogo ze sobą przywiózł. - Wyciągnęła rękę do Annie. - Jestem zachwycona, że mogę panią poznać, Anastazjo.

- Miło mi panią poznać, wasza wysokość. - Annie uścisnęła jej dłoń, zastanawiając się, czy powinna dygnąć, ale doszła do wniosku, że byłby to już zbytek łaski.

- Och, proszę - machnęła ręką księżna. - Dla pani jestem Linnea.

Annie zajęta była układaniem w myśli listy różnych rzeczy, dzięki którym młoda księżna stanowiła znakomitą partię dla Hansa. Z niechęcią musiała dopisać tam przymioty: „ciepła” i „naturalna”.

- Hans, muszę teraz już lecieć. - Linnea kipiała energią. - Będzie mi bardzo przyjemnie przyjechać do tej stacji narciarskiej. Czwartego, tak?

- Czwartego - potwierdził Hans. - Będę cię oczekiwał.

- Wolfgang... - Pocałowała starszego pana w policzek. -Cudownie cię znów zobaczyć. Anastazjo, cieszę się z naszego spotkania.

Annie uśmiechnęła się do niej, ale czuła, że się kurczy, porównując się z tą kobietą, żywą jak iskra. Patrzyła, jak Linnea odchodzi i zauważyła, że każdy mężczyzna w foyer odprowadzają wzrokiem. Każdy, z wyjątkiem Hansa. Hans spoglądał na Annie z wyrazem, jak mogłaby przysiąc, litości.

- Jest pani gotowa wracać? - zatroszczył się o nią z serdecznością w głosie.

- Czy kiedy Linnea zniknęła, pańskie obowiązki tutaj już są skończone? - zapytała, nie namyślając się. Natychmiast poczuła, że się rumieni.

- Tak. - Hans zdawał się nie zauważać jej sarkastycznego tonu. - Miałem nadzieję, że ją dziś wieczorem zobaczę. I udało się nam ustalić termin otwarcia nowej stacji narciarskiej, na które przyjedzie.

- Och. - Annie pokiwała głową, jakby rozumiała znaczenie tego, ale nie rozumiała. Mimo wszystko nie chciała, by zaczął podejrzewać, że jest zazdrosna. Ponieważ, oczywiście, to nie odpowiada rzeczywistości. - Będzie bardzo miło.

- Będzie więcej niż miło, będzie rewelacyjnie. Już się o nic nie martwię. - Zeszli do szatni. Hans pomógł Annie włożyć płaszcz. - Wieczór był na pewno wart zachodu - podsumował, wychodząc z budynku opery.

Nic nie odpowiedziała. Nie mogła przestać myśleć o pocałunku. Co to miało znaczyć? Po prostu poplątało mu się coś w półśnie? Ale przecież wymówił jej imię.

Noc była mroźna i Annie szczelniej otuliła się płaszczem.

Miała niewyraźną świadomość obecności ochroniarzy kilka metrów dalej. Dawali zaskakujące poczucie bezpieczeństwa. Zrobiło się bardziej rześko.

- Czuje się śnieg - Hans jakby czytał w jej myślach.

- Naprawdę? Nic nie czuję. - Akurat teraz nie powinna pozwolić, żeby ją rozszyfrował.

Czekali na chodniku, aż kierowca przyprowadzi wóz. Stali obok siebie w ciszy, obłoczki pary z ich ust unosiły się i łączyły ze sobą. Jak nasze dusze, wyobraziła sobie Annie i natychmiast skarciła się za romantyzm. To tylko ślad ciepłego oddechu na mrozie, żaden romantyczny symbol.

Podjechał samochód i kierowca otworzył im drzwiczki. Rozsiedli się wygodnie na tylnym siedzeniu.

- Kiedy opera się skończyła i pani mnie obudziła... - zaczął Hans po kilku minutach.

- Tak?

- Czy my... - Przerwał i zdawało się, że szuka odpowiedniego słowa.

Annie nigdy nie widziała go tak zakłopotanego.

- Czy my? - ponagliła go.

- Czy ktoś zauważył? Mam na myśli to, że drzemałem. - Spojrzał na nią szybko, przez krótki moment patrząc jej w oczy, potem odwrócił wzrok.

- Nie sędzę - pokręciła głową,

- Dobrze. Dobrze. - Skinął głową i patrzył na szybę, pokrytą mgiełką. - Rzeczywiście robi się mroźno.

- Hans - zaczęła niezobowiązująco.

- Tak?

Postanowiła powiedzieć mu o pocałunku. Chciała otwartej konfrontacji.

- Bardzo dobrze bawiłam się dziś wieczorem, dziękuję.

- Bardzo się cieszę. Teraz rozumie pani lepiej, czego oczekuje się po Bęsie i Marcie. Jestem pewny, że przyzna pani, iż wycieczki do miasta nie są konieczne.

Po prostu z niej kpił. Miało to sprawiać wrażenie, jak gdyby myślał o czymś bardzo błahym, ale Annie wiedziała, że on tylko udaje.

- Biorąc pod uwagę pański przykład, powinny się nauczyć, jak spać na siedząco.

- To nie jest norma, zapewniam panią.

- Nie lubi pan opery, prawda? - Annie popatrzyła na niego przeciągle.

- To niczego nie zmienia.

Samochód wjechał na autostradę. Annie zauważyła drogowskaz do Lassbergu. Jeszcze niewiele ponad godzinę wspólnej jazdy i ten czarodziejski wieczór się skończy. Czowała cudowny zapach jego wody po goleniu, lekki i świeży.

Rozmawiali o rzeczach błahych przez następne pół godziny. Nie omieszkali wyczerpać również tematu pogody. Annie powtórzyła, że dobrze się bawiła, a on jeszcze raz zapewnił, że bardzo go to cieszy.

- Naprawdę? Zastanawiam się, czy lubi pan uczestniczyć w takich imprezach?

- To część moich obowiązków.

- Więc nie przepada pan za tym.

- Zazwyczaj niespecjalnie. - Spojrzał na nią. Samochód wjechał na plac w jakimś miasteczku, ożywiony przez świąteczne dekoracje i sznury lampek, chociaż Boże Narodzenie było dopiero za miesiąc. Biały śnieg pokrył ziemię, a na nim odbijały się malowniczo kolorowe refleksy.

- Wydaje mi się - odezwała się Annie po następnych kilku kilometrach - że należeć do rodziny panującej, znaczy spędzać mnóstwo czasu na robieniu rzeczy, których się nie lubi, rzeczy, które nudzą do tego stopnia, że można zasnąć. - Zebrała siły, żeby zadać pytanie za sto tysięcy. - Więc co pan robi, kiedy chce się pan dobrze bawić?

- Nie mam czasu, by się dobrze bawić.

- Poważnie. - Chciała się roześmiać, ale poczuła ucisk w gardle. - Co pan robi, żeby się rozerwać? - Był tak blisko. Mogła go dotknąć. W istocie pragnęła tego rozpaczliwie. Skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Nic mi do głowy nie przychodzi. - Pokręcił głową, marszcząc brwi.

- Ależ proszę. Kiedy pana spotkałam, podróżował pan sam. Incognito. To musiało przecież pana bawić?

- Wtedy pracowałem. - Podniósł głowę, jak gdyby obserwując drogę przed nimi. - Ale czasami rzeczywiście dobrze się bawię. Tego dnia, kiedy się poznaliśmy...

- Tak? - wstrzymała oddech.

- Miałem dobry dzień. Przyniósł niezłe rezultaty. Tamtego ranka załatwiłem kilka ważnych spraw.

- Naprawdę zabawne, że właśnie wtedy się spotkaliśmy - Annie uśmiechnęła się do siebie.

- Można by powiedzieć, że to los nas zetknął. - Jego spojrzenie było nieprzeniknione. - Jeśli dobrze używam tego słowa.

- To brzmi niemal romantycznie. - Nie wiedziała, jak to rozumieć.

- Niewątpliwie - przyznał cicho, patrząc jej w oczy.

Coś iskrzyło między nimi. Gdyby był zwyczajnym człowiekiem - kimkolwiek, byle nie jedną z koronowanych głów Europy - posłuchałaby swojego instynktu i dotknęłaby go, może by nawet odważyła się pocałować. Ale w tej sytuacji nie mogła niczego zrobić.

- Nie wyobrażałam sobie, kim pan naprawdę jest, kiedy z panem pierwszy raz rozmawiałam.

- Zdawałem sobie z tego sprawę. To było coś, co mi się w pani podobało.

- Czy było jeszcze coś więcej, wasza wysokość?

- Znacznie więcej.

Jego ton sprawił, że ciarki przebiegły jej po plecach. Wdali się w rodzaj gry, małej gierki, flirtowali i wycofywali się, krok w przód, krok w tył. Co chciał jej powiedzieć? Co ona chciała mu powiedzieć?

A może znowu ona mylnie ocenia sytuację? Może to ona flirtuje, a on nie? W takim przypadku popełniłaby wielki błąd, mówiąc coś dwuznacznego.

- Zastanawiam się - powiedział wolno Hans - co pani o mnie sądzi.

Annie szukała w myślach odpowiedzi. Do głowy przychodziły jej różne rzeczy, większość niezbyt pasowała do służbowych relacji między pracodawcą a pracownicą. Poczula się przyparta do muru.

- Niełatwe pytanie, jak widzę - skomentował po chwili jej milczenie z krzywym uśmiechem.

- Myślę o panu różnie - odparła uczciwie. - Jest pan wspaniałym władcą, najwyraźniej ludność Kublensteinu uwielbia pana...

- A pani?

- Ja? - Zatkanęła ją.

- Co pani do mnie czuje? - spytał spokojnie, przysuwając się do niej bliżej.

- Ja... ja... - Ta bliskość przyprawiała ją o zawrót głowy. Czuła się znów jak Alicja w krainie czarów.

Nie czekał na jej odpowiedź, wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie. Objęła go i przyciągnęła, odpowiadając pocałunkiem.

Potem odsunęli się, patrząc sobie w oczy przez długi moment.

- Chyba to jest moja odpowiedź - odezwała się w końcu Annie.

- I pytanie dla nas obojga. - W spojrzeniu, którym ją obdarzył, był jakiś dystans.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Leo nie czekał na Gretę, by wpuściła go do gabinetu Hansa, po prostu wpadł tam. Taka bezceremonialność była do niego niepodobna.

- Rozumiem, że zabrał pan pannę Barimer do opery w zeszłym tygodniu - oświadczył, jak gdyby Hans był dzieckiem przyłapanym na kłamstwie. - I nawet mi pan słowem o tym nie wspomniał.

- Owszem - odparł Hans spokojnie, starając się nie okazać, że zaskoczyło go wejście Lea i jego wybuch. - Czy to dla ciebie problem, Leo?

- To jest problem. Ona ma zły wpływ nie tylko na dziewczynki, ale najwyraźniej teraz i na pana.

- Zły wpływ na mnie? Jak doszedłeś do tego wniosku? - Hans roześmiał się sucho. Splótł palce, jak gdyby powstrzymując się od zaciśnięcia pięści.

- Jest beznadziejnie głupią Amerykanką, kobietą, która ma zero szacunku dla tradycji naszej monarchii. Groziła nawet, że zaskarży policję w Lassbergu! - Leo pokręcił głową z niesmakiem. - Zdaje się, że znalazł się pan pod jej niepojętym urokiem.

- Przesadzasz - stwierdził Hans spokojnie. - Annie jest dobrą nauczycielką dla dziewczynek, ale tylko nauczycielką.

Lecz, jeśli tak się rzeczy miały, dlaczego spędził resztę tygodnia, rozmyślając o tym pocałunku w samochodzie? Gdyby Christian nie powiedział im, że są już w domu, kto wie, co by się mogło stać. Nawet teraz ciągle chodziło mu po głowie tylko to, że powinni razem zobaczyć uroczyste odsłonięcie pałacowej choinki. Według niego ta ceremonia była zawsze trochę zbyt wystawna, ale inni bardzo ją lubili. Annie prawdopodobnie także się spodoba. Pragnął zobaczyć jej twarz rozpromienioną radością. Jednak nie powinien tak się przejmować. Zrezygnował ze swojego pomysłu. Jest tak zajęty, że nie może zawracać sobie głowy takimi drobiazgami, jak choinka. Ktoś inny pokaże jej bożonarodzeniowe dekoracje.

- Przebywa tutaj wyłącznie ze względu na dziewczynki - stwierdził stanowczo.

- Chciałbym tylko, żeby to była prawda. - Leo się nie poddawał. - Widziałem, jak pan na nią patrzy. Słyszałem zmianę w pana głosie na jej widok, albo kiedy padało w rozmowie jej nazwisko. Pan zakochał się w tej kobiecie, zaś amerykański wpływ może zniszczyć tradycje, którym nasz kraj zawdzięcza swoją wielkość.

- Po pierwsze, nie jestem bardziej zakochany w tej kobiecie niż w... - szukał w myśli jakiegoś porównania, ale żadne nie przyszło mu do głowy - niż w jakiegokolwiek innej. Nie jestem zakochany.

- To pan tak mówi.

- Po drugie - Hans udał, że tego nie słyszał - ona nie wywiera żadnego niewłaściwego wpływu na mnie, i wreszcie, nawet gdyby wywierała, nie wierzę, żeby wpływy amerykańskie przyniosły szkodę naszemu krajowi.

- Nie wierzę własnym uszom. - Leo wyglądał, jakby Hans go pobił. - Jest pan zaślepiony przez uczucie do tej kobiety!

Musimy położyć temu kres! - Zazwyczaj blada twarz Lea poróżwiała. - Rozmawiamy o moim kraju, jego dziedzictwie.

- To również mój kraj - Hans zaakcentował każde słowo. Podniósł się powoli, świadomy tego, że góruje wzrostem nad swym doradcą. - Mam nadzieję, że twoją intencją nie była sugestia, jakobym mniej się troszczył o ten kraj od ciebie.

- Mam nadzieję, że nie, sir. - Leo zbladł. Odwrócił się i wyszedł bez słowa.

Hans usiadł z powrotem za biurkiem i odtworzył w myśli całą rozmowę. Leo nigdy przedtem tak się nie zachowywał. Utrzymywać, że Hans jest zakochany w Annie było... niedorzeczne. Czy Leo stracił kontakt z rzeczywistością? Czy nawał pilnych zajęć pod koniec roku wyprowadził go z równowagi? Czy też naprawdę był przekonany, że Annie stanowiła groźbę dla narodowych tradycji?

Gdyby nie mówił tak śmiertelnie poważnie, Hans byłby się roześmiał. W obecności Annie, musiał to niechętnie przyznać, wszystko wyglądało lepiej. Bardziej radośnie w każdym razie. Nie żeby się w niej zakochał, nic z tych rzeczy. To była tylko obiektywna obserwacja. Na pewno sprawy nie zmiierzają w złym kierunku. Co sobie Leo myśli? I co on powinien teraz zrobić ze swoim doradcą, znając jego niechętny stosunek do Amerykanki?

- Cóż? - Hans, cofając się, patrzył na Annie. - Co pani o tym myśli?

Nie spuszczała oczu z ogromnej choinki, którą jej pokazał. Drzewko musiało mieć co najmniej sześć metrów. Ginęło w powodzi tysiąca światełek, złotych łańcuchów i bombek.

- Zapiera dech - przyznała uczciwie. - Sama ta wysokość... Jednak nie potrafiła się zachwycić. Widywała podobnie wspaniałe dekoracje na zdjęciach w pismach ilustrowanych albo w świątecznym programie w telewizji. Na tym polegał problem. Choinka sprawiała sztuczne wrażenie,

brakowało na niej ręcznie robionych ozdób czy słodczy dla dzieci. To choinka w wersji dla dorosłych, doszła do salonu, gdzie nikt nie przychodzi i gdzie meble przykryte są plastikowymi pokrowcami. Hans zdawał się czekać na dalszy komentarz.

- I to złoto... - skończyła. - Ho, ho.

- Nie podoba się pani. - Ściągnął brwi.

- Ależ nie, nie, naprawdę jest piękna. - Rzeczywiście była imponująca, chociaż taka bezosobowa.

- Mnie także się nie podoba.

- Nie podoba?

- Prawdę mówiąc, w dzieciństwie zawsze mnie takie choinki trochę przerażały.

- Przerażały? - Annie roześmiała się.

- Proszę spojrzeć - uśmiechnął się. - Jeśli upadnie na panią, ma pani małe szanse, żeby wyjść cało.

- Tak - zaczęła się śmiać. - Przypuszczam, że to prawda. Po co więc taka ogromna choinka, jeśli pan jej nie lubi?

- Tradycja. - Wzruszył ramionami. - Każdego roku w pałacu stawiają dużą choinkę tydzień przed świętami. Zawsze tej samej wysokości i zawsze w głównym hallu.

- Pasuje doskonale do tej przestrzeni. Przez te wysokie okna prawdopodobnie widać ją doskonale z zewnątrz.

- Aha.

- Czy dziewczynki wieszają na niej jakieś własne ozdóbki?

- Nie mają żadnych własnych ozdób. - Hans wydawał się zmieszany tym pomysłem.

- Nawet cukierków?

- Nie.

- Nie robią nic same? - zdziwiła się. - Żadnych łańcuchów? Szyszek?

- Możę to pani wyobrazić sobie na tej choince?

Nie mogła. Mogła za to wyobrazić sobie mniejsze drzewko w pokoju dzieciennym, obwieszane ręcznie zrobionymi ozdobami i zabawkami.

- Czy nie powinniśmy ustawić choinki dla dziewczynek, w ich pokoju? Dużo mniejszej i nie takiej... strasznej.

- To nie jest konieczne. - Skwitował jej propozycję machnięciem ręki. - Jestem pewny, że ta im się podoba.

Niewidzialny mur wyrósł między nimi.

- Ja też jestem pewna. Panu taka choinka podobała się w dzieciństwie. - Nie mogła powstrzymać się od ironii. - Pomyślałam tylko, że sprawiłoby im przyjemność przygotowanie swoich własnych ozdób.

- Jeśli pani chce, Barnes, ogrodnik, może przynieść pani małe drzewko.

- Czy zechce pan pomóc je udekorować?

- Nie, dziękuję. - Obrzucił ją druzgoczącym spojrzeniem. Przez moment czuła się urażona, ale coś jej powiedziało, że nagły chłód Hansa nie był spowodowany jej propozycją.

- Przyjdzie pan zobaczyć choinkę, kiedy już będzie gotowa?

- Mam wrażenie, że czeka mnie kłótnia, jeśli odmówię.

- Owszem. - Miała rację. Gnębiło go coś innego. Mur między nimi lekko się zachwiało.

- Więc zobaczymy. - Podeszedł do niej bliżej.

- Czy możemy oczekiwać większego zaangażowania, wasza wysokość? - Wstrzymała oddech.

- Nie. - Musnął jej policzek. Potem uśmiechnął się i minął ją, zmierzając do swojego gabinetu. - Czas, by pani przyprowadziła dziewczynki.

Spojrzała na zegarek. Rzeczywiście, kończyły już lekcje.

- Dziękuję, że pokazał mi pan choinkę - zawołała za nim.

- Nie ma za co. - Podniósł ramię, ale się nie obejrzał.

- Powiem panu, kiedy ta druga będzie gotowa.

- Tak, na pewno. - Znikł za rogiem.

Annie stała przez chwilę nieruchomo, patrząc w tamtą stronę. Potem podniosła dłoń do policzka.

- Na pewno - szepnęła cicho, przypominając sobie po raz setny jego pocałunek w samochodzie.

Zgodnie z obietnicą Hansa Barnes przyniósł półtorametrowy świerk do pokoju dziecinnego wczesnym rankiem następnego dnia, w sobotę. Besa i Marta ze zdumieniem oglądały małe drzewko, przeznaczone tylko dla nich.

- Co my z tym zrobimy? - spytała Marta.

- Obie je udekorujecie.

- My? - Besa wyglądała na szczerze zaintrygowaną.

- Tak.

- Jak tę na dole?

- Niezupełnie. Ta będzie wyglądała inaczej, bo jest tylko wasza. Możecie na niej powiesić, co chcecie. Ale mam pewne pomysły.

Spędziły większą część ranka, chodząc po okolicy i zbierając różne drobiazgi, które mogły wykorzystać przy dekorowaniu choinki. Annie udało się uprosić Margaret, żeby uprażyła trochę kukurydzy, a w kuchni znalazło się nawet trochę długich jak świece cukierków. Gospodyni pomogła, przynosząc koszyk z nitkami i ścinkami materiału.

Wczesnym popołudniem członkowie personelu zatrzymywali się przed pokojem dziewczynek, przynosząc różne rzeczy do dekoracji lub tylko podsuwając pomysły, zaczerpnięte z własnego dzieciństwa. Dzień nabrał świątecznej atmosfery, której, jak zdała sobie sprawę Annie, brakowało w pałacu, mimo że Boże Narodzenie było już za tydzień.

Margaret uwinęła się ze swoją robotą w kuchni i też zjawiała się, by im pomóc. Podniosła Besę, żeby dziewczynka mogła powiesić cukierki na najwyższych gałązkach. Drzewko prezentowało się uroczo i bardzo różniło się od choinki w głównym hallu na dole. Choć nie takie strojne i okazałe, na swój sposób wytrzymywało porównania.

- To wspaniała choineczka - zauważyła Margaret.

- Tak. - Annie uśmiechnęła się. Pokój dziecinny zamienił się w wesołe miejsce. - Nie mogę się doczekać, kiedy księżę Johann to zobaczy.

- Żartuje pani? - Kucharka niemal zastygła z półotwartymi ustami.

- Wcale nie. Dlaczego miałabym żartować?

Margaret spojrzała na Besę i Martę, które bawiły się w oddalonym kącie pokoju.

- On nienawidzi Bożego Narodzenia - szepnęła do Annie.

- Dlaczego miałby nienawidzić Bożego Narodzenia?

- Nie wiem - Margaret mówiła scenicznym szeptem. - Każdego roku w tym okresie pogrąża się w czarnych myślach. A nastrój ma okropny! Lepiej nie mówić. Nie możemy się doczekać, kiedy nadejdzie Nowy Rok i wszystko wróci do normy.

- To prawda. - Marta to usłyszała. - Tata nie znosi Bożego Narodzenia.

Annie upomniała wzrokiem Margaret.

- Marto, jestem pewna, że twój ojciec lubi Boże Narodzenie. Prawdopodobnie ma po prostu bardzo wiele zajęć pod koniec roku.

- Nie sądzę - westchnęła Marta.

Annie zastanowiła się. Dlaczego Hans miałby nie lubić Bożego Narodzenia? Można by przypuszczać, że władca kraju powinien czuć się szczęśliwy właśnie w okresie świątecznym. Przypomniała sobie jak mówił, że nie lubi choinki. Najwyraźniej jakieś jego dziecięce problemy nie zostały

rozwiązane. Czy ona mogłaby mu teraz pomóc? Jeśli cokolwiek może zmienić jego nastawienie do świąt, to tylko dziewczynki. Kiedy zobaczy ich radość, sam zacznie się cieszyć.

- Cóż ~ powiedziała głośno, podejmując nowe postanowienie. - Po prostu musimy zmienić jego nastrój.

Minęły trzy dni, a do Wigilii Bożego Narodzenia zostały kolejne trzy. W pałacu odbywał się wtedy doroczny bal maskowy. Każdego roku Hans czekał na to z niechęcią. Gdy był mały, ta noc, na całym świecie poświęcona rodzinie i miłości, znaczyła zawsze oszalamiającą zabawę jego rodziców i zaaferowanie jego opiekunek. Na całe życie zostało mu z wigilijnych nocy wrażenie samotności i chłodu. Tydzień później Kublenstein witał Nowy Rok na swój wyjątkowo uroczysty sposób, a potem kraj pogrążał się w błogim spokoju, trwającym kolejne dwanaście miesięcy. Hans nie mógł się doczekać, kiedy minie Boże Narodzenie.

Szedł do jadalni na kolację. Przechodząc obok choinki w hallu uśmiechnął się, wspominając reakcję Annie. To było czarujące, że wolała raczej sama udekorować małe drzewko niż cieszyć się tym ogromnym i monstualnym, które już stanęło. Po tym, jak zażyczyła sobie mniejszej choinki, ona i dziewczynki prawie zniknęły mu z oczu. Podczas wspólnych posiłków córki chichotały i rzucały sobie porozumiewawcze spojrzenia. Dziś wieczorem miał już tego dosyć.

- Nie mogę powstrzymać się od przypuszczenia - odezwał się znad coq au vin - że wy trzy coś knujecie.

Besa i Marta natychmiast się wyprostowały i spojrzały na niego niewinnym wzrokiem.

- Jesteśmy grzeczne - zapewniła Besa cienkim głosikiem.

- Kiedy mam do czynienia z panną Barimer - rzekł, nie spuszczając z niej wzroku - muszę się mieć na baczności.

- Oczywiście - odparła Annie i zwróciła się do dziewczynek: - Myślę, że nadszedł czas, by pokazać waszemu ojcu, nad czym pracowałyśmy, nie uważacie?

- Możemy? - zapytała Marta. - Czy to już gotowe?

- Tak mi się wydaje - uśmiechnęła się Annie.

- A co to jest? - Hans spojrzał na nią podejrzliwie.

- Cóż, to kilka rzeczy, mówiąc ściśle.

- Czy możemy pokazać już teraz? - Besa zeskoczyła z krzesła.

- Siadaj - upomniał ją ostro Hans. - Nie wolno ci wstawać od stołu, dopóki nie skończysz jeść kolacji, o czym dobrze wiesz.

Besa usiadła, ale po kilku chwilach skrzywiła się i łzy napłynęły jej do oczu. Hansowi zrobiło się przykro, córka jednak powinna znać swoje miejsce.

- Wiem, kochanie, że bardzo chcesz to pokazać ojcu, lecz przecież możemy jeszcze kilka minut poczekać. - Annie pochyliła się, przez siół dotykając ramienia małej.

- T-tak - zgodziła się Besa, pociągając nosem.

- Grzeczna dziewczynka. Jedz kolację.

Hans obserwował je z mieszanymi uczuciami. Jakaś jego część żałowała, że nie był w dzieciństwie tak delikatnie traktowany, ale inna jego część złorzeczyła Annie za jej miękkość w sytuacji, która wymagała stanowczości. Bądź co bądź, dziewczynki przede wszystkim muszą nauczyć się opanowywać i bez wahania robić dokładnie to, czego się od nich oczekuje. W życiu publicznym za każdy błąd mogą drogo zapłacić.

A wracając do sedna sprawy, być może zrównoważone wpływy delikatnej Annie i stanowczego Hansa przyniosą dziewczynkom więcej korzyści niż bezwzględne przestrzeganie dyscypliny. Jednak Hans szybko doszedł do wniosku, że to byłby nonsens. Dawał sobie znakomicie radę sam, zanim zjawiała się nauczycielka z Ameryki Teraz też może sobie bez niej poradzić.

- Panno Barimer - odezwał się szorstko.

- Tak? - Puściła rękę Besy i zdziwiona odwróciła się do niego.

Sytuacja znów była pod jego kontrolą. Hans poczuł ulgę.

- Proszę mi podać sól - uśmiechnął się blado.

Nie wiedzieć czemu, scena przy kolacji dręczyła Hansa jeszcze długo po tym, jak wstali od stołu. Był absolutnie pewien, że postąpił właściwie, przywołując Besę do porządku. Jak Annie mogła sprawić, że zaczął w to powątpiewać? Jak mogła, wkraczając w jego życie, w ciągu zaledwie kilku tygodni, zasiać wątpliwości niemalże co do wszystkich spraw, w które świecie wierzył od dzieciństwa?

Kiedy on dorastał, dziecko było traktowane jak dziecko, nie uczono się z nim jak z dorosłym. Dziecinne wybuchy nikogo nie roztkwiwiały, lecz spotykały się z lodowatą rezerwą. Przecież współczucie prowokować mogło dalszą histerię. Zmarszczył brwi. Z drugiej strony, on sam czułby się swobodniej, gdyby ktoś zrozumiał, że jego dziecinne uczucia są ważne. Może nie prowadziłby takiego samotnego życia. Lecz gdyby go w ten

sposób rozpieszczano, czy byłby teraz dobrym przywódcą? Większość koronowanych głów w Europie to figuranci, bez faktycznej władzy. Natomiast Hans zdobył szerokie uznanie jako inteligentny władca, gładko i pewnie przeprowadzający swoje państwo przez okres trudny politycznie i ekonomicznie, który rozpoczął się jeszcze za rządów jego ojca, zmarłego pięć lat temu.

A teraz, dzięki Annie, książę zważył w siebie.

Wewnętrzny głos mówił mu, że ona tylko otworzyła mu oczy na to, że sposób, w jaki go wychowywano, nie musiał być najlepszy. Sama ta myśl wytrącała go z równowagi.

Ktoś dyskretnie zapukał do drzwi biblioteki, gdzie siedział. Weszła pokojówka z kopertą w ręce.

- Od księżniczek Besy i Marty. - Podała mu liścik, skłoniła się lekko i wyszła.

Zaczekał, aż zamknęła za sobą drzwi, potem wyjął z koperty zielony papier, wycięty w kształcie choinki, do której przyklepiono żółte i czerwone kółka. W środku Marta starannie wykaligrafowała: „Proszę przyjść do pokoju dziecinnego na niespodziankę”.

Oglądał zaproszenie przez minutę, potem westchnął. Odłożył kartkę na stolik obok i poszedł na górę. Już w korytarzu usłyszał taki hałas z dziecinnego pokoju, że obudziłby umarłego. Krzyki i śmiechy przerywały pośpieszne wskazówki, by położyć to tutaj albo tamto tam i głośne upominania, by być cicho. Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

W końcu zapukał.

- Czekajcie, czekajcie, już jest - rozległ się sceniczny szept Annie. - Przygotujcie się.

Usłyszał tupot.

- Proszę wejść - zawołała Besa.

Hans otworzył drzwi. Światła były przyćmione, więc najpierw rzuciła mu się w oczy choinka o osobliwym kształcie, udekorowana papierowymi ozdobami, nitkami z nawleczonym popcornem, jakimiś rzeczami, których nie mógł zidentyfikować, i łańcuchami kolorowych lampek niczym w sklepach w mieście. Musiał przyznać, chociaż nie powiedział tego głośno, że było na co patrzeć i że to najbardziej wesoły symbol świąt, jaki widział w życiu. Być może zmieni się jego trwające od dzieciństwa przekonanie, że Boże Narodzenie jest czasem samotności.

W kącie cicho grał magnetofon z amerykańskimi kolędami.

- Co o tym myślisz, ojczy? - spytała Marta.

- Czy nie jest ładna? - dodała Besa.

- Tak, bardzo ładna.

Spojrzał na Annie stojącą w słabej poświacie kolorowych lampek. Pragnienie, żeby podejść do niej, wziąć ją w ramiona i zatracić się w jej ciepłym uścisku, było równie silne, jak bolesne.

Annie nie ruszyła się z miejsca, nie drgnęła, nie spuściła nieśmiało wzroku, jak się spodziewał. Spojrzała mu w oczy z niemalże dotykającą siłą.

- To wszystko dla pana. - Wzięła głęboki oddech. - Chciałybyśmy, żeby cieszył się pan w tym roku Bożym Narodzeniem.

- Ma pani wielkie ambicje.

- Możliwe. - Podniosła dumnie głowę. - Ale wyobrażałam sobie, że jeśli przygotuję coś oryginalnego, łatwiej będzie panu spróbować.

- To jest całkowicie oryginalne. - Jego oczy ześliznęły się po choineczce.

- Więc to dobry początek - zaryzykowała Annie z półuśmiechem.

Patrzył na nią przez chwilę.

- To początek - przytaknął wreszcie.

- Mamy coś dla ciebie - krzyknęła Besa, najwyraźniej zmęczona ich powściągliwą rozmową. Podbiegła do zapakowanych pięknie podarków, leżących pod choinką i przyniosła je Hansowi. ~ To jest ode mnie - oznajmiła z dumą i nisko się kłaniając, wręczyła mu białe zawiniątko.

- Od ciebie, tak? Zobaczmy, co to jest. - Zachichotał i rozerwał papier. W środku była szyszka, pomalowana - trochę nierówno - na błyszczący złoty kolor. - To bardzo piękne, Beso. Sama to zrobiłaś?

Pokiwała radośnie głową.

- Bardzo ładna robota. Dziękuję.

- To drobiazg. - Wręczyła mu drugi pakunek. - A to od Marty.

- Ja też sama to zrobiłam, papo.

Przez chwilę chciał zatrzymać czas. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek jego córki wyglądały na tak radosne i szczęśliwe, nawet za życia Marii. To Annie stworzyła im przytulną atmosferę, w dodatku tak szybko.

Co prawda to jeszcze za mało, żeby stał się wielbicielem świąt* ale przy tej okazji Annie dała jego córkom wiele ciepła i był jej za to wdzięczny. Udało jej się osiągnąć coś, czego on nie potrafił dokonać.

Odłożył złotą szyszkę i rozwinął większy pakunek. Zrazu nie miał pojęcia, co to jest, wyglądało jak wiązka patyków. Odrzucił papier, przyjrzał się

lepiej i zorientował się, że to ramka z gałęzi, oplatających fotografię Besy i Marty w lesie.

- Podoba ci się? - spytała cicho Marta.

- Bardzo - uśmiechnął się. - To piękne.

Pochylił się i otworzył ramiona. Dziewczynki skoczyły w jego objęcia, chichocząc i całując go w policzki.

Czuł na sobie uważne spojrzenie Annie, stojącej po drugiej stronie pokoju. Kiedy wyprostował się w końcu, uśmiechnęła się do niego.

- Więc może Boże Narodzenie nie jest takie złe? - rzuciła lekko.

- Może nie całkiem - przyznał. - Ale to się okaże za kilka dni.

- Czy Annie pójdzie na bal maskowy? - zagadnęła ojca Marta.

- Nie, Marto - zaczęła Annie.

- Jeśli zechce - przerwał jej Hans.

- To w Wigilię - wyjaśniła Marta. - Każdy nosi maskę, więc nie wiadomo, kto jest kto. Można zadać trzy pytania, żeby się dowiedzieć. Nie mogę się już doczekać, żeby dorosnąć i pójść na ten bal - dodała marząco.

- Cóż, ponieważ jeszcze nie dorosłaś, a ja jestem za ciebie odpowiedzialna, spędzę ten wieczór z tobą. - Annie wiedziała, że Hans nie odrywa od niej oczu. Spojrzała na niego i zaczerwieniła się. - Potem pan nam wszystko opowie.

- Jak pani sobie życzy - zgodził się.

- Czy możemy teraz pójść i napić się gorącej czekolady? - Besa pociągnęła Annie za sweter.

- Oczywiście, omal nie zapomniałam. - Annie była jej wdzięczna za okazję do zmiany tematu. - Margaret powinna już wszystko przygotować. Pobiegniecie do kuchni i weźmiecie kubki, dobrze?

Dziewczynki popędziły na dół.

- Zadała pani sobie wiele trudu dla nich - odezwał się Hans. - Dziękuję pani.

- To nie było tylko dla nich. - Spojrzała mu prosto w oczy.

- To znaczy...

- Chciałam to zrobić także dla pana. - Na chwilę spuściła wzrok, potem się uśmiechnęła. - Być może nie powinnam tego mówić, ale to prawda.

Podszedł do niej.

- Dla mnie - powtórzył, zakłopotany tym, co usłyszał. - Nie jestem pewny, czy ktokolwiek przedtem tak się starał - wyznał szczerze, ani trochę nie litując się nad sobą.

- Jeszcze jeden powód, żeby to zrobić.

- Nie.

Położył dłonie na jej ramionach i spojrzał jej w oczy. Zamierzał powiedzieć, żeby nie zawracała sobie nim głowy, a zamiast tego martwiła się o dzieci, ale kiedy spojrzała na niego niebieskimi oczyma, przepełnionymi współczuciem, nie mógł się powstrzymać. Pocałował ją. Jego pocałunek najpierw był pośpieszny, gniewny, rozpaczliwy, potem złagodniał. Ujawnił całą tęsknotę, którą Hans czuł od dawna. Annie poruszyła w nim wszystkie uczucia i zabarwiła je pragnieniem. Zanurzył palce w jej włosy i przywarł do niej niemal z rozpaczą. Pragnął jej tak, jak żadnej innej kobiety przedtem. Nie było to pragnienie fizyczne, lecz duchowe. Pożądał jej obecności w swoim życiu, w swoim domu, na zawsze.

- Hans - wyszeptała, tuląc się do niego.

Pocałował ją mocno jeszcze raz, potem pieścił wargami jej kark i ramiona.

- Przepraszam - powiedział po niemiecku. - Nie powinniśmy tego robić. - Ale nie mógł odejść.

- Dlaczego? - Objęła go mocno.

- Nie chce się pani ze mną wiązać. - Cofnął "się i obrzucił ją poważnym spojrzeniem. - Nie zaczynajmy tego.

- Ja chcę zacząć - przekonywała go ze szczerością w głosie.

- Nie chce pani takiego życia.

- Ja nie chcę? Czy to pan nie chce?

- Być może żadne z nas dwojga, ale ja nie mam wyboru. Byłaby pani bardziej szczęśliwa z innym mężczyzną, o mniej skomplikowanej sytuacji życiowej.

- Czy można wybrać, w kim się człowiek zakocha?

- Czy pani jest... zakochana? - Miał wrażenie, jakby ktoś uderzył go obuchem w głowę.

Nie odpowiadała przez długą chwilę. Jej oczy napełniły się łzami. Pocałował ją jeszcze raz, potem odsunął od siebie.

- To niemożliwe.

- Dlaczego? Czy pan nic do mnie nie czuje? Zadrżał na myśl, jak wiele do niej czuje.

- To, co ja czuję, to żadne wyjście... - zrobił unik.

- Co pan czuje? - Wzięła jego dłonie w swoje.

- Jak powiedziałem...

- CO PAN CZUJE? - Ścisnęła jego rękę.

Od odpowiedzi uchronił go powrót Besy i Marty. Kiedy weszły, on i Annie wciąż stali naprzeciw siebie, trzymając się za ręce. Oczywiście to było bardziej interesujące niż gorąca czekolada. Dziewczynki odstawiły kubki na stół.

- Zamierzacie się pobrać? - spytała natychmiast Besa z błyszczącymi oczyma.

- Nie, nie, Beso - zaczęła Annie, idąc ku niej. - Po prostu rozmawialiśmy.

- Wyglądało, jakbyście się całowali - Besa zachichotała.

- Naprawdę? - Annie spróbowała się roześmiać.

- Tak, a ludzie właśnie tak robią, kiedy się pobierają. Jeśli się pani pobierze, będzie pani naszą matką.

Marta obserwowała wszystko w milczeniu. Hans przyglądał się starszej córeczce.

- Poczekaj minutkę, mała księżniczko, nikt słowem nie wspomniał o małżeństwie. - Annie rzuciła błagalne spojrzenie Hansowi, który tymczasem rozmawiał z Martą.

- Co takiego? - spytał, widząc, że dziecko chce mu coś powiedzieć.

- Chcemy mieć nową matkę - oświadczyła cichutko. Przejął się jej słowami, na chwilę zamarł, potem zmierzwił jej czuprynę.

- Przecież jest Annie. - Chociaż postarał się przed chwilą rozjaśnić sytuację, nie mógł ukryć, że ciężko mu na sercu.

- Chodźcie - przerwała Annie, biorąc kubki z gorącą czekoladą. - Każdemu po jednym.

Podawała czekoladę Hansowi. Ich dłonie się zetknęły, oczy spotkały. Popatrzył w bok.

Kiedy wszyscy już trzymali kubki w dłoniach, Annie podniosła swój w górę.

- Za wesołe święta - zaproponowała toast pogodnym głosem. - I za szczęśliwy Nowy Rok.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Dziękuję, że pani zjawiała się natychmiast, panno Barimer.

- W głosie Lea przebijało zadowolenie z siebie, od którego Annie ścierpła skóra. Była Wigilia i wezwał ją do swego biura „w trybie alarmowym”. Poszła z prawdziwym strachem.

Wpatrywał się w interkom na swoim biurku, naciskając kilka guzików, zanim znalazł ten właściwy i odezwała się Greta.

- Chcę, żeby mi pod żadnym pozorem nie przeszkadzano, kiedy będę rozmawiał z panną Barimer - zapowiedział sekretarce.

Żołądek podchodził Annie do gardła z przerażenia.

- Przejdę od razu do rzeczy. - Leo odwrócił się do niej.

- Nasza gazeta przysłała mi odbitkę artykułu, który ukaże się jutro na pierwszej stronie. Obawiam się, że będzie to dosyć irytujący prezent gwiazdkowy dla jego wysokości. - Wyjął z bocznej szuflady dużą szarą kopertę i przesunął ją po blacie w stronę Annie. - Proszę rzucić na to okiem.

Otworzyła ostrożnie kopertę. Pierwszą stroną zajmowało duże zdjęcie Hansa, całującego Annie w operowej łoży. Tytuł głosił wielkimi literami: „Opiekunka do dzieci znajduje żyłą złota jako kochanka księcia”.

- To nieprawda! - Annie rzuciła odbitkę na biurko, wzdrygając się ze zgrozy.

- Lecz przynajmniej wygląda na prawdę. - Leo wykrzywił usta z satysfakcją.

- Nie jest! - Czuła jak krew odpływa jej z twarzy. - Skąd przyszedł im do głowy ten pomysł? - Natychmiast po zadaniu tego pytania zrozumiała, że odpowiedź jest oczywista.

- Problem polega na tym - Leo mówił umyślnie bardzo powoli, chowając odbitkę do koperty - co my z tym teraz zrobimy. Obawiam się, że jedyne wyjście dla pani to wyjechać stąd zaraz i to dyskretnie. Książę Johann nie potrzebuje reklamy tego rodzaju.

- Ja nigdy nie zamierzałam... - Słowa uwięzły jej w gardle.

- Cokolwiek pani zamierzała, panno Barimer, od chwili przyjazdu ustawicznie stwarzała pani problemy.

Annie nie mogła wydobyć głosu.

- Więc jeśli będzie pani tak dobra i spakuje swoje rzeczy, wytłumaczę jego wysokości, dlaczego pani wyjeżdża.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

Annie obejrzała się i ujrzała Hansa, groźnie mierzącego ich spojrzeniem. Nie wiadomo, jakie emocje go tu przywiodły, ale wydawało się, że ma trzy metry wzrostu. Annie odniosła wrażenie, że Leo kurczy się za biurkiem. Ona zaś musiała zwalczyć chęć, by podbiec do Hansa i schować się za jego plecami.

Hans podszedł szybko do biurka Lea i pięścią rąbnął w interkom.

- Naprawdę powinienes wyłączyć głośnik, Leo. Słyszałem cię cały czas w swoim gabinecie.

- Słyszał... pan? - Leo skulił się.

- Słyszałem. A teraz - Hans odwrócił się do Annie - jeśli panna Barrier wyjeżdża, chciałbym usłyszeć o tym od niej. - Jego głos był cichy i zbyt spokojny.

- Nie jestem pewna, co... - zaczęła Annie.

- Niechętnie to panu pokazuję, sir, ale widzę, że nie mam wyboru. - Leo wmieszał się między nich dwoje. - Tak czy owak jutro zostanie to opublikowane. - Wręczył Hansowi kopertę tak ostrożnie, jak gdyby była ze złota.

- Co to jest? - Hans wyrwał mu kopertę, otworzył i wyciągnął odbitkę gazety. Zobaczył pierwszą stronę i oczy mu pociemniały. - Co to u licha jest?

- To jest, obawiam się, właśnie to, przed czym pana ostrzegałem, sir - odparł Leo spokojnie. Najwyraźniej uważał, że zdobył punkt w tej grze.

Hans potrząsnął głową i zaczął przemierzać pokój, uderzając kopertą o udo.

- To nieprawda - zaczął dowodzić. - To niezgodne z prawem. Porozmawiam ze swoim adwokatem, a potem skontaktuję się z redaktorem gazety. Znam go od lat. Uważałem, że lepiej zna się na dziennikarskim rzemiośle.

- To nie jest niezgodne z prawem, jeżeli to prawda - odezwał się Leo.

- To jest nieprawda! - zagrział Hans. Znów obejrzał odbitkę. - Oczywiście to rodzaj fotomontażu.

- Faktem jest, że prawdopodobnie nie. - Na twarzy Annie pojawił się rumieniec.

Zapadła cisza. Obydwaj spojrzeli na nią.

- Widzi pan? - zatriumfował Leo. - To ona prawdopodobnie wszystko ukartowała. Poszukiwaczka złota, która zastawia pułapki na bogatych mężczyzn. Od początku wiedziałem, że to ziółko.

- Co to znaczy, że to nie jest fotomontaż? - Hans nie zwrócił na niego uwagi. - Sama pani widzi, że to wygląda, jakbyśmy byli... w sztucznej pozycji.

- Kiedy tamtego wieczoru zapadła kurtyna... - Annie wzięła głęboki oddech, ale czuła się tak, jakby musiała oddychać pod wodą. Zerknęła nerwowo na Lea, potem na Hansa. - Zorientowałam się, że pan drzemie. Podeszłam, żeby obudzić pana i... - wskazała na zdjęcie - to właśnie się stało.

- Pani mnie pocałowała? - Twarz Hansa złagodniała.

- Faktycznie to pan mnie pocałował. - Annie zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

Ich oczy spotkały się na długi, cudowny moment. Mogła wyobrazić sobie, że to intymna rozmowa.

- Być może znajduje się pani pod zbyt wielkim wpływem baśni o śpiącej królewnie - odezwał się Leo za jej plecami.

- Tymczasem są lepsze sposoby na budzenie księcia. - W jego głosie brzmiała nieprzyjemna wyższość.

- Dosyć! - warknął Hans, podchodząc znów do biurka. - Już dość od ciebie słyszałem. Proszę nas zostawić samych.

- Sir, jest pan w moim biurze...

- A ty jesteś w moim domu - przypomniał mu spokojnie Hans.

Annie zmusiła się, by siedzieć cicho. Bądź co bądź między dwoma mężczyznami zaszło coś, czego nie rozumiała. Lepiej byłoby nie pogarszać sytuacji.

- Sir - zaczął znowu Leo, tym razem innym tonem, uciekając się do dyplomacji. - Zdaję sobie sprawę, że jest pan ślepy na sztuczki panny Barimer, ale z mojego punktu widzenia to oczywiste, że właśnie ona stoi za publikacją tej fotografii w gazecie.

- Ja? - usłyszała własny głos.

- W jakim celu? - spytał Hans.

- Przypuszczam, że próbuje zwabić pana w pułapkę i chytrze zamienić wasze relacje na bardziej osobiste.

- Zwabić w pułapkę? - powtórzyła Annie z niedowierzaniem. - Sądzi pan, że ja próbuję usidlić księcia Kublensteinu za pomocą tego rodzaju zdjęć oraz insynuacji w brukowej gazecie? To idiotyczne.

- Może tak, może nie - powiedział Leo zimno.

- Musiałabym być głupia, nawet tylko usiłując coś takiego zorganizować? Oczywiście gazeta może ujawnić, kto podsunął im tę historię.

- Takie dociekania nie są konieczne. - Twarz Lea pobladła. - Nawet jeśli to nie pani dostarczyła im materiały, pozostaje faktem, że ta wątpliwa reklama będzie krążyła po całym kraju i zamieni monarchię w zły dowcip. Pański ojciec - zwrócił się do Hansa - nigdy by na to nie pozwolił.

- I na tym polega problem, prawda, Leo? - Hans wyprostował się na całą swoją książącą wysokość. - Nie jestem moim ojcem. Tego żałujesz, odkąd on umarł.

- Był wielkim człowiekiem. - Leo wyraźnie się wzruszył.

- Tak, był. - Hans zmienił ton na bardziej uprzejmy. - Ale odszedł i ja nie będę taki jak on, a już na pewno nie po to, żeby sprawiać przyjemność tobie i kuku innym przedstawicielom starej szkoły, którzy myślą, że można tym krajem rządzić jak w XIX wieku. Czasy się zmieniają, Leo. Proponuję, żebyś ty też się zmienił.

- Nie zmienię się!

Hans podszedł do Annie, wspierając ją swoją opiekuńczą obecnością.

- Przykro mi, że tak do tego podchodzisz, Leo. W tych warunkach czuję się zmuszony przyjąć twoją rezygnację.

- Och. - Leo wyglądał na mocno zaskoczonego. - Sir, pan musi być źle zorientowany. Ona... ona próbuje na pana zastawić sidła.

- Nie potrzebuje tego robić.

Annie wstrzymała oddech. Co to miało znaczyć?

- Nie mogę tego słuchać. - Leo wygramolił się zza biurka. Zatrzymał się na progu i odwrócił czerwoną twarz. - Na szczęście pański ojciec tego nie widzi.

- Całe szczęście.

Leo potraktował to jako jeszcze większą obrazę, wymamrotał kilka słów i wyszedł.

Hans pokręcił głową. Podszedł do Annie i ujął jej dłonie.

- Bardzo mi przykro, że musiała pani przez to przejść.

- Leo jest ze starej szkoły, tak jak pan powiedział. - Wzruszyła drżącymi ramionami. - Jestem pewna, że chciał dobrze. Tak czy inaczej.

- Jego działania mogły mieć katastrofalne skutki.

- Cóż, to nie pana wina. - Przygryzła wargi.

- Rzadko pani to przyznaje. - W kąciку jego ust zaigrał uśmiech.

Otworzyły się drzwi i weszła Greta.

- Sir, redaktor gazety, pan Lennon, jest na linii. Ma do powiedzenia kilka słów na temat informatora z pałacu.

- Czy wie, kto to jest? - Hans otoczył ramieniem plecy Annie.

- Niestety, tak - Greta skinęła głową.

- A więc, kto to?

- Leo Kolbort, sir.

- Rozumiem. - Odwrócił się do Annie. - Proszę mi wybaczyć, chciałem mieć to już za sobą przed dzisiejszym balem - powiedział z rezygnacją.

Annie jeszcze nigdy nie była świadkiem takiej uroczystości jak bal. Od wczesnego ranka w całym pałacu podniecenie, członkowie personelu byli zaaferowani, sporadycznie odzywała się orkiestra, odbywająca próby przed wieczornym wydarzeniem.

Wreszcie zapadł wieczór, wysokie nuty smyczków docierały przez schody do korytarza, w którym przyczyły się Besa, Marta i Annie, podglądające przybywających gości. Kobiety w olśniewających toaletach i biżuterii, mężczyźni we frakach, część ukryła już twarze pod maskami. Niektórych gości bez trudu dawało się zidentyfikować, inni zamaskowali się tak przemyślnie, że pewnie nie poznałaby ich nawet własna matka.

- To jest księżna Rothmore - szepnęła Marta, wskazując tęgą kobietę z jasnymi włosami upiętymi w wysoki kok. - Jej włosy są naprawdę czarne jak węgiel, ale rozpoznam jej sylwetkę wszędzie - zachichotała.

- A tam jest księżna Linnea! - Besa krzyknęła tak głośno, że musiały ją uciszać.

- Papa miał nadzieję, że ona zjawi się w tym roku - dorzuciła Marta.

Annie chciała ją spytać dlaczego, ale ugryzła się w język.

- Gdzie jest papa? - zaciekawiała się Besa.

- Nie wiem, jeszcze go nie widziałam - odparła Marta. -Zwykle trudno go rozpoznać. - Czy zauważyła go pani, panno Barimer?

- Nie.

- Panno Barimer - odezwał się za nimi kobiecy głos.

Annie zerwała się na równe nogi. Zobaczyła Gretę w eleganckiej, niebieskiej sukni balowej i w długiej blond peruce. Zaczerwieniła się, gdy zdała sobie sprawę, że sekretarka przyłapała ją na podglądaniu razem z dziewczynkami.

- Chciałyśmy tylko zobaczyć, jak... - zaczęła się tłumaczyć.

- Są lepsze punkty obserwacyjne. - Greta uśmiechnęła się ciepło. - Na przykład sala balowa.

- Papa mówił, że może pani pójść, jeśli pani zechce - przypomniała Marta, bardzo podniecona tą perspektywą.

- Mówił tak przez uprzejmość, kochanie. - Annie poczuła też dreszcz podniecenia, ale natychmiast go stłumiła.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała Greta z miną osoby dobrze poinformowanej. - Przypuszczam, że pani szuka.

- Ale uprzedzałam go, że nie przyjdę.

- Wiem. Wspominał mi o tym. A jednak sędzę, że wciąż ma nadzieję - Greta uśmiechnęła się. - Margaret czeka w pokoju dziecięcym, żeby położyć dziewczynki do łóżek. Przyszłam, żeby pomóc pani ubrać się na bal.

- Ale to szaleństwo! - Podniecenie Annie wzrosło. - Nie mam co na siebie włożyć!

- Nie ma zmartwienia. Na pani łóżku położyłam dwie suknie do wyboru.

- Ojej, jest pani zupełnie jak dobra wróżka.

- Możliwe. Tylko że dzisiaj nie potrzebuje pani czarów, musi pani być po prostu sobą.

Dziewczynki zachichotały i zaczęły żartować na temat kopciuszka.

- Tatuś jest jak księżę - orzekła Besa, zapominając o rzeczywistości.

Annie podniosła dłoń do ust. Niewątpliwie był dla niej zaczarowanym księciem. Bała się poddać tej fantazji ze strachu, że się rozwieje.

- Jest pani pewna, że powinnam pójść?

Greta przytaknęła. Ujęła ramię Annie, by zaprowadzić ją na górę.

- Księżę Johann bywa tajemniczy. Nie potrafię czytać w jego myślach, ale jestem przekonana, że przywita panią bardzo ciepło.

Pół godziny później Annie schodziła po schodach. Nie potrafiła ukryć zdenerwowania. Włożyła połyskliwą złotą tunikę, do tego długie rękawiczki i złote pantofelki, które doskonale na nią pasowały. Miała też jasnoblond perukę i złotą maskę, zmieniające ją nie do poznania. Tylko z powodu tej anonimowości nie uciekła jeszcze ze strachu do swego pokoju. Nasuwało jej się mnóstwo wątpliwości, które mogły zatrzymać ją jeszcze na schodach. Czy Hans naprawdę chciał, żeby się zjawiała? Czy to było właściwe, że zwyczajna nauczycielka szła na bal? Greta zapewniała ją, że tak, a to, że ona sama bywała na tych balach regularnie, dodało Annie otuchy.

Bała się, że wszyscy odgadną bez trudu, co przeżywa, że zauważą to Hans i że będzie tym przerażony. Doszła do wniosku, że ona i tak nic na to nie poradzi. Nigdy nie potrafiła ukrywać swoich uczuć. Może liczyć co najwyżej na to, że on kiedyś sobie to w końcu uświadomi, jeżeli już tego nie zrobił.

- Wygląda pani ślicznie - skomplementowała ją Greta, czekająca w drzwiach sali balowej.

Annie nie wyobrażała sobie takiego miejsca nawet w najśmielszych snach. Sufit był niesamowicie wysoki, z łukowatymi przyporami, ornamenty na ścianach połączane. Na drugim krańcu sali przez dwie pary szklanych drzwi widać było migoczące światełka świątecznych dekoracji, rozwieszonych w ogrodzie otaczającym pałac. Muzyka, jak dobry duch, wypełniała salę.

Goście uśmiechali się i popijali szampana z wysokich kieliszków.

- Naprawdę jestem tu nie na miejscu - szepnęła do Greta.

- Rzeczywiście tak się pani czuje? Czy tylko pani tak myśli?

Zastanowiła się nad odpowiedzią. Właściwie już się nie denerwowała. To tylko umysł mówił jej, że nie należy do tego świata, serce natomiast twierdziło, że tak.

- Ma pani rację - uśmiechnęła się do Greta. - Wmawiam sobie, że jestem poza tym wszystkim, tymczasem tak naprawdę bardzo pragnę być tutaj.

- Podejrzewałam to. Czy zna pani zasadę trzech pytań?

- Dziewczynki o niej wspominały. Można zadać trzy pytania, żeby odgadnąć, z kim się rozmawia?

- Tak, ale na trzy pytania można odpowiadać tylko „tak” albo „nie”. - Greta ujęła dłoń Annie i uścisnęła ją. - Zostawiam panią teraz, by moja obecność pani nie zdradziła. Proszę się dobrze bawić!

- Dziękuję. - Annie obserwowała, jak Greta znika w chmurze niebieskiego szyfonu.

Niemal natychmiast zbliżył się do niej postawny mężczyzna z wąsami w masce Zorro.

- Dobry wieczór - zagaił po niemiecku. - Czy można panią prosić do następnego tańca?

Annie wahała się tylko przez chwilę, potem się uśmiechnęła. Postanowiła, że wykorzysta każdą drogocenną minutę tego wieczoru.

- Będę zaszczycona - odparła.

Zaprowadził ją na parkiet. Właśnie tam, wirując w walcu „Nad pięknym modrym Dunajem”, dostrzegła Hansa w odległym kącie. Chociaż maska zasłaniała mu całą twarz, a wspaniałe czarne włosy zostały ukryte pod cylindrem, rozpoznała od razu księcia po sylwetce i postawie. Sądząc z tego, że stał sam, inni nie domyślali się, że to on.

Muzyka umilkła i rozległy się oklaski.

- Dziękuję bardzo. - Annie chciała się pożegnać.

- Chwileczkę - sprzeciwił się jej partner. - Trzy pytania. Zatrzymała się. Co u licha?

- Proszę bardzo - uśmiechnęła się lekko.

- Czy urodziła się pani w Kublensteinie?

- Nie.

- W Niemczech?

- Nie - roześmiała się.

- Czy była pani kiedyś na tym balu?

- Nie - pokręciła głową.

Namyślał się trochę, a potem pstryknął triumfalnie palcami.

- Jest pani siostrzenicą księżnej Rothmore!

- Przykro mi, ale nie. - Jeszcze nigdy w życiu tak dobrze się nie bawiła.

Brakowało jej tylko jednej jedynej rzeczy - obecności Hansa. - Dziękuję za taniec.

Zostawiła partnera i zaczęła przedzierać się przez tłum, tam gdzie jeszcze przed chwilą był Hans. Niestety, już sobie poszedł. Ogarnęło ją ogromne rozczarowanie. Straciła wspaniałą okazję porozmawiania z nim na osobności. Teraz już na pewno natknęła się na niego jakaś piękna arystokratka, najprawdopodobniej księżna Linnea, i trzyma go w swoich szponach. Annie zaczęła wypatrywać go wśród tancerzy.

- Rozgląda się pani za kimś? - odezwał się przy niej znajomy głos.

Odwróciła się. To on stał obok. Z bliska rozpoznała go z trudem. Zza maski nie widać było niewiarygodnej zieleni jego oczu.

- Podziwiam tylko tańczących - odpowiedziała po niemiecku, dbając o bardzo dobrą wymowę. Nie chciała, by zdradził ją akcent.

- Czy ma pani ochotę przyłączyć się do nich, panno...? - Wyciągnął dłoń w białej rękawiczce.

- Dziękuję.

Zadrżała. A więc nie domyślił się, kim ona jest! Ujęła jego ramię i poszła z nim zatańczyć. Tym razem był to wolny taniec, ale bliskość Hansa zapierała jej dech, bardziej niż szybki wiedeński walc.

- Czy dobrze się pani dziś bawi, panno... ?

- Bardzo dobrze, a pan, panie...? - Spodobała się jej ta gra.

- Lepiej niż zwykle. - Chwycił mocniej jej przegub i przyciągnął do siebie bliżej.

- Dlaczego?

- Ponieważ niedawno spotkałem kobietę, z którą chcę się ożenić, a ona jest tu dzisiaj.

Annie ścisnęło się serce. Przez moment sądziła, że pomyliła się, że to nie Hans. Jednak to był on. A on nie wiedział, że to ona. Nie spodziewał się, że Annie przyjdzie, co znaczyło, że mówił teraz o kimś innym.

Pamiętała, jak Besa zawołała, że przyszła księżna Linnea i że Hans miał nadzieję, że się pojawi.

- Czy ona zna pańskie intencje? - spytała drżącym głosem.

- Tak sędzę. Nie wiem tylko, jak je przyjmie.

Nagle Annie poczuła się bardzo głupio w strojnej sukni i śmiesznej peruce. Posłużyły jej tylko do wysłuchiwanie zwierzeń, których nie chciała słyszeć.

- To bardzo romantyczna sceneria na oświadczyzny. - Starła się, żeby jej głos brzmiał normalnie.

- Mam nadzieję, że powie „tak”. Boję się tylko, że będzie znudzona tą pałacową scenerią.

To rozwiało jej wątpliwości. Wszyscy wiedzieli, że Linnea jest miłośniczką przygód, nie lubi siedzieć w jednym miejscu. Fotografowie uganiali się za nią po całym świecie. Tylko czyżby on spotkał księżnę Borgdach niedawno?

- Wiele par musi uporać się z podobnymi problemami - odparła obojętnie.

- Ku mojemu smutkowi nie mamy dużego pola manewru. Musielibyśmy mieszkać w Kublensteinie, a boję się, że ona tego nie zechce. Musiałaby zrezygnować ze swojego obywatelstwa.

- Zna pan to porzekadło, że miłość wszystko zwycięży? - Annie nie próbowała już ukryć swego amerykańskiego akcentu.

Jak mogło do tego dojść? Przed kilkoma dniami Hans powiedział jej, że w ogóle nie zamierza się żenić. Bardzo jasno określił swoje stanowisko. Co więc się zmieniło? Jak Greta mogła namawiać ją, by zeszła na dół, kiedy Hans zamierzał oświadczyć się księżnej Linnei?

Prawdę mówiąc, Greta niczego jej nie obiecywała. W istocie nawet nie sugerowała, że Hans chciał, by Annie przyszła na bal z powodów osobistych. Może to po prostu od początku nieporozumienie.

- Interesujące, że to pani mówi. Ponieważ jeszcze do niedawna nie wierzyłem, że oświadczyzny wiążą się z miłością. Bardzo mądra kobieta pomogła mi to zrozumieć.

- Nie taka mądra. - Wiedziała, że to miało odnosić się do niej.

- Proszę?

- Mam na myśli to, że w małżeństwie nie potrzeba mądrości. Możliwe, że małżeństwo w ogóle nie jest mądre. Zresztą dla większości ludzi jest głupie, bo romantyczne.

- Możliwe, że ma pani rację - roześmiał się. - Ale zakochanie się może zaskoczyć również i panią.

- Z tym się zgodzę. - Zabolało ją serce. Przestronna sala balowa wydała się nagle mała i duszna.

Orkiestra przestała grać i Annie przez chwilę klaskała grzecznie.

- Teraz pana przeproszę. - Odwróciła się, by odejść, ale Hans chwycił ją za ramię.

- Proszę poczekać. Muszę zadać pani trzy pytania i odgadnąć, kim pani jest.

- Przykro mi, ale mam coś do zrobienia. - Starła się opanować emocje.

- Przecież przyszła tu pani na bal.

Nie chciała, by ją rozpoznał, jeśli już tak się nie stało. To powiększyłoby tylko jej upokorzenie. Zamiast tego będzie nadal grała swoją rolę.

- Tak, istotnie - przyznała. - Proszę zadawać pytania. Wziął ją za rękę i zaprowadził do wysokich szklanych drzwi, wychodzących na ogród.

- Pierwsze: czy lubi pani mieszkać w Lassbergu?

- Skąd pan wie, że mieszkam w Lassbergu?

- Jeśli pani nie mieszka, przypuszczam, że odpowiedź brzmi „nie”.

Zaczynała wszystko rozumieć. Wiedział doskonale, że to ona.

- Tak, lubię tu mieszkać.

- Aha. Dobrze. Następne pytanie: czy jest pani w stanie zostać tu dłużej? Być może bezterminowo?

On cały czas dobrze wiedział, że to ona! Chce, żeby została i zajmowała się dziećmi, kiedy on ożeni się z Linneą! Mimo że kochała Besę i Martę, nie była pewna, czy zdołałaby tu nadal mieszkać i znosić straszny ból.

- Nie wiem - odparła lekko, ale łzy zakręciły się jej w oczach. - Proszę mi wybaczyć, nie mogę już dłużej czekać. - Odwróciła się i wybiegła z sali, zanim usłyszała jego odpowiedź.

Popędziła do zacisza swego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi, zrzuciła maskę i starła głupie łzy, spływające po policzkach, Czemu się rozpląkała? Zakochała się w księciu, do Ucha, powinna była wiedzieć, że nic z tego nigdy nie wyjdzie. Równie dobrze mogła zakochać się w gwiazdorze

filmowym albo piosenkarzu. Nigdy nie płakała dlatego, że Mel Gibson jest już żonaty.

Ktoś zapukał do drzwi. Prawdopodobnie Greta zobaczyła ją, jak wybiegała z sali. Przyszła więc teraz sprawdzić, czy nic złego się nie stało. Annie zdążyła zerknąć do lustra i zetrzeć rozmazany tusz. Wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

To nie Greta. W progu stał Hans. Bez maski i cylindra.

- Nie pozwoliła mi pani zadać trzeciego pytania - powiedział cicho, patrząc na nią przenikliwie. Promieniował pewnością siebie.

- Więc pan wiedział, że to ja - stwierdziła obojętnym tonem.

- Żadne z nas nie potrafi udawać tak dobrze, jak sądzi.

- Wiec kiedy będę szukała następnej pracy, z góry wykluczę aktorstwo - uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że nie będzie pani szukać następnej pracy.

- Teraz nie jestem w stanie o tym myśleć - westchnęła i pociągnęła nosem.

- Czy nie musi pan pomówić z Linneą?

- Z Linneą? Jeszcze jej dzisiaj nie widziałem.

- Nie? - Annie to zdziwiło.

- Co prawda specjalnie się za nią nie rozglądałem. Dlaczego miałbym mówić z Linneą?

- Ja... Ja... - Wciąż niczego nie rozumiała. - Nie mogę pozbierać myśli - wyznała.

- Dlaczego?

- O kim pan więc wtedy mówił? Ta kobieta, której chce się pan oświadczyć...

- A jak pani myśli? - Wyciągnął rękę i pogłaskał ją po policzku.

- Uczę się, co prawda wolno, ale skutecznie, nie czynić żadnych przypuszczeń na pana temat.

- Proszę więc pozwolić mi wyrazić się bardzo jasno. - Jego oczy paliły ją jak ogień. - Mówię teraz, panno Barimer, Annie, że jestem w tobie zakochany. Sądzę, że byłem w tobie zakochany już wtedy, kiedy wylądowałaś u moich stóp w pociągu. - Ujął jej podbródek i zaśmiał się. - Już wtedy, kiedy zobaczyłem cię w celi. Już wtedy, kiedy nalegałaś, żeby przytaszczyć na górę choinkę. I prawdopodobnie będę w tobie zakochany jeszcze z okazji tysiąca nieszczęśliwych zbiegów okoliczności, które nastąpią w przyszłości. To tyle, jeśli pozwolisz.

Nie mogła myśleć, nie mogła znaleźć słów, by wyrazić zamęt w głowie i w sercu. Ile godzin spędziła, marząc o nim i próbując stłumić te marzenia, nie domyślając się wcale, że on czuje to samo?

- Nie miałam pojęcia.

- Teraz wiesz. Daję ci swoje serce. Co zamierzasz z nim zrobić?

- Jaki mam wybór?

- Hmm. Widzę to tak: albo mnie poślubisz - zrobił dramatyczną pauzę, a jej zaczęły drżeć kolana - albo wrócisz do więzienia.

- Proszę nie żartować na ten temat. - Byłaby się roześmiała, ale zaparło jej dech.

- Ja nie żartuję - powiedział śmiertelnie poważnie. - Chociaż przyznam, że więzienie nie tworzy raczej alternatywy.

- Więc...

- Moje trzecie pytanie. - Przykląkł na jedno kolano i podniósł wzrok na nią. - Czy zaszczycisz mnie, zostając moją żoną?

- Wiesz, co mówisz? - Łzy płynęły jej strumieniem po policzkach.

- Czy zamierzasz wciąż kwestionować wszystko, co robię? Czy chcesz zostać ze mną na zawsze, czy nie?

- Wygląda na to, że muszę zostać, choćby tylko, żeby się z tobą nie kłócić...

- Czy ja dobrze słyszę? Nie chcesz kłócić się ze mną? - Położył dłonie na jej ramionach.

- Tak - oświadczyła drżącym głosem. Przyciągnął ją do siebie. Twarz mu spoważniała.

- Księżno... - Musnął palcami jej policzek.

- Naprawdę będą mnie tak nazywać? - wyszeptała bardzo cicho. - Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

Przytulił ją mocno, potem pocałował. Było cudownie, jakby ostatni element układanki, którą stanowiło jej życie, znalazł się na swoim miejscu. Uwielbiała być w objęciach Hansa, potrafił sprawić, że czuła się najważniejszą osobą na świecie. Całe życie czekała na to szczęście. I wciąż z trudem wierzyła, że ją spotkało.

- Może teraz powiemy o tym dziewczynkom? - spytał Hans. - Będą zachwycone.

- Och, tak, chcę oznajmić o tym całemu światu.

- Nie musisz się o to martwić. Leo będzie musiał to zrobić. Roześmieli się.

- Chodźmy do Besy i Marty.

Annie nie mogła doczekać się reakcji dziewczynek. Wiedziała, że przejmą się tym niesłychanie. Już wyobrażała je sobie w falbaniastych sukieneczkach na ślubie.

- Dokąd pojedziemy na miesiąc miodowy? - spytał Hans. - Ty wybierasz. Dowolne miejsce na świecie.

- Gdzieś, gdzie dziewczynki będą się dobrze czuły.

- Dziewczynki?

- Oczywiście. Nie możemy zostawić ich samych.

- Nie. Musimy zatrudnić nową opiekunkę.

- Co to, to nie. Moje córki nie będą miały opiekunki.

- Twoje córki będą wychowywane jak zwykli ludzie? - uśmiechnął się.

- Możesz się o to założyć.

- A to dziecko, które może przyjść na świat?

- Tak samo. - Zadrżała.

- Porozmawiamy o tym. - Pokiwał niezobowiązująco głową

- O czym tu rozmawiać? Jak wiesz, bardzo mocno mnie obchodzi... ,

Przerwał jej w pół zdania uciszającym pocałunkiem. Pocałunkiem, w którym zawierało się całe szczęście, czekające na nią w ramionach Hansa. Jej serce przepełniło radosne przeczucie wielu przyszłych wspólnych lat. Bądź co bądź, nie zawsze zaczarowany książę i kopciuszek żyją długo i szczęśliwie.

EPILOG

„The Washington Post”, 14 lutego

LASSBERG, niedziela. Panujący książę Ludwig Johann Am-brose George Kublenstein poja! dzisiaj za żonę Amerykankę, Anastazję Barimer. Księżna Anastazja, dawna bibliotekarka w Pendleton, szkole dla dziewcząt w Wirginii, spotkała księcia, kiedy została zatrudniona jako nauczycielka angielskiego jego córek, księżniczek Marty i Besy.

„To najbardziej romantyczna historia, jaką słyszałam w życiu - powiedziała pierwsza drużna panny młodej, Joy Simon, w telefonicznym wywiadzie. Mówiłam jej, że mam przeczucie, że coś się wydarzy, ale nawet ja byłam zdumiona tym obrotem rzeczy”. Zdumiony był również były główny doradca księcia, Leo Kolbort, który najwyraźniej złożył dymisję i przyjął stanowisko w lokalnym dzienniku.

Panna młoda miała starą jedwabną suknię, która kiedyś należała do jej babki. Złoty pierścionek z dziesięciokaratowym białym diamentem nosiło dziesięć pokoleń panien młodych w książęcej rodzinie Kublenstein. Pannie młodej towarzyszyła pani Joy Simon i księżniczki. Tysiąc pięciuset gości, w tym Linnea księżna Borgdach, tłoczyło się w katedrze na ceremonii, która, z wyjątkiem tego, że panna młoda wstrzymała się od obietnicy „bycia posłuszną” nowo poślubionemu mężowi, była bardzo tradycyjna.